

ogrodowe iluzje

Antologia forum *Ogród Ciszy*

ogrodowe iluzje

Antologia forum
Ogród Ciszy

Lublin 2016

© Copyright by Ogród Ciszy – 2016

www.ogrodciszy.pl

Prawa autorskie autorów są własnością ich twórców.

Wydawca: Tomasz Kowalczyk – Lublin

Wydanie pierwsze

Nakład: 160 egz.

Redakcja: Jan Stanisław Kiczor, Tomasz Kowalczyk

Projekt okładki: Barbara Wróblewska

Grafiki: Barbara Wróblewska

Skład i łamanie:

Lublin, marzec 2016

ISBN 978-83-928856-3-4

Barbara Baldys (Hamminkeln)

Kobiecie w necie

- Jesteś tutaj?

- Jestem. Jestem!

Różą pachnie i agrestem.

(Nie, nie teraz. To już było.)

Rzęsy, a pod nimi niebo...

Słońce siadło na policzkach.

- Sliczna jesteś!

I dziś śliczna.

Niech tam myślą!

Co? - Nieważne!

Życie, życie jest poważne

A marzenia niech szybują.

Gdzieś zładują...

Józef Bilski (Lublin)

szaleje szalej
gorzko krzyczy tarnina
ostry po krew ostropest

zapadają głębiej
progi domów
na sen kolejnozimowy

toczą słowa
na wąskich torach
zaciśniętych ust

cerkiew rozcina niebo
w oczach ikon
brak kreski uśmiechu

w nas

wędruje las
tętnią obłoki
krew potokiem
ptaków przeloty //

w nas

włóczędzy
uśpionych Miejsc
pytający
progów piwnic

czyje oczy
rozpalą w nas ogień domu

w odchodzeniu jest sens
jak w milczeniu

w niepewnych tropach
na kopnym śniegu
barwie głosu
przydrożnych drzew

w odchodzeniu
dojść można
do samego siebie
niegotowego na pustkę
odbitą w oczach

droga
z pytań o drogę

przy której
Zły
i
Dobry
ćmią skręta na dwóch

czekając
na
Pytanie.

Ewa Colett Boruta (Kraków)

myśli niesforne

zabłądziły za horyzont
pragnąc znaleźć dzbanek złota
wstążkę tęczy spleść donikąd
wśród migotań

zapomniały nierozważne
przy wieczornych zórz wylśnieniach
że młodzieńczą wyobraźnię
czas pozmieniał

zagubiły w mlecznej drodze
cel wpleciony w nieskończoność
nim się wtopił w monotonię
dzień z ironią

ujarzmione schyłkiem nocy
powróciły dziś nad ranem
pod powieki senne wkroczył
świt - kochanek

w cieniach

dyskutował raz księżyc z latarnią
o tym które poświatą jaśniejszą
w zależności od pory ogarnia
snów ciemność

próbowali osiągnąć *consensus*
nie wpływając na pory spotkania
tocząc bitwy w zaułkach bez sensu
do rana

całą wieczność dyskusja trwać miała
do dziś jedno drugiemu nie wierzy
w cieniach budząc przedświty kochania
bez reszty

pierwotnie

na polanie cieniem płodnej
w rytm szemrzących fal strumyka
zanurzamy się gwałtownie
przeszłość znika

poddajemy analizie
zapomniany każdy szczegół
by niespiesznie w tańcu zbliżeń
dotknąć brzegu

sprowadzamy do pierwotnych
kryte po sypialniach treści
pożądaniem wklęci w dotyk
ciągle piękni

słońcem tkany

zasłuchana w świerszczy granie
przez jesienne patrzę okno
myśli plotą się w dywanik
we mgle mokną

zapatrzona w ptaków harce
zza firanki śledzę wzrokiem
trasy lotów z biciem serca
w rytmie kroków

zakochana w oczach wiatru
w dłoniach niosę snopy westchnień
list wysyłam słońcem tkany
czekam jeszcze

ostatnia odsłona

gdy po greckim świecie bogów ty wędrujesz
gdy Pompeje z lupanarem ciebie cieszą
ja tu w słowa się ubieram kontempluję
gramatycznie się rozbieram choć nie grzeszę

gdy gdzieś w czasie zakrzywionym tu i teraz
zabrzmiał dzwonek że czas wracać z tej włóczędzy
ty pracując niczym Syzyf bez wytchnienia
gubisz drogę w nurtach Lety w niepamięci

w przekonaniu mnie utwierdzasz że te kwiaty
które trzymam zasuszone w starej książce
wciąż nie zwiędły mimo czasu lecz przetrwały
jak ruiny Partenonu, jak ty słońce

zmiana

dzisiaj już nie piszę dla Ciebie
w piórze stetryczał atrament
słowa ukryte pod kurzem
skończyły łkanie

dzisiaj już nie piszę dla siebie
wyschła stalówka z tęsknotą
obraz malując na oknie
w tęczy się złącząc

dzisiaj już nie piszę nic dla nas
czas mi spowszedniał na zawsze
skruszona frezja wypadła
wtulona w kartkę

Mirosław Chodynicki (Terespól)

tu można pogadać z Bogiem
z aniołami zagrać w karty
pić piwo, palić i oglądać całą jaskrawość
wymalowaną kolorami lata
skwarem piołunowym
albo jesiennym deszczem
wiatr kłoni nagie
konary
zdobne w skrzydła wron
kapłanek szarości i śniegu

tu mam swoje myśli
w wiersz wplecione

w drogę

pod wiatr nigdy z wiatrem
bo nie wiadomo dokąd poniesie

na śniegi kopne
na ulice kamienne
tysiącem kroków brukowane
na place bezludne
nocne
w bezruch ubrane

nad rzekę
tysiącem iskier rozbłyskaną piosenkę
szelestem zielonym albo parą piersi
głaskanych błękitem
pogodnego dnia

Hanna Dikta (Piekary Śląskie)

Przerwana taśma

Nie potrafię sobie przypomnieć, co wtedy robiłam. Może uczyłam się na sprawdzian z fizyki, może wkuwałam matkę. Przeklęte funkcje, na wspomnienie których do dzisiaj oblewają mnie zimne poty. Albo leżałam na tapczanie i przy pomarańczowym świetle papierowego kinkietu czytałam kolejną część "Sagi o ludziach lodu", którą co miesiąc kupowałam w kiosku przy dworcu. Pożyczałam ją potem koleżankom z klasy, ustawiała się cała kolejka. A może ukazał się właśnie nowy tom "Panien i wdów"? Mogłam też oglądać telewizję albo gadać przez telefon z przyjaciółką. To jednak mniej prawdopodobne. Z Agatą wolałam się spotykać, siedziałyśmy w zaciszu mojego pokoju albo włączyłyśmy się po Kozłowej Górze bez celu, gadając, gadając, gadając. Oczywiście o chłopakach.

Nie pamiętam, co robiłam tamtego wieczoru, wiem jednak, czego z całą pewnością nie robiłam. Nie stałam przy oknie z nosem przyklejonym do szyby. Nie spoglądałam nerwowo na zegarek. Nie martwiłam się, dlaczego rodzice tak długo nie wracają. A przecież dawno już zapadł zmierzch, a oni wyjechali po obiedzie. Kiedy wróciłam ze szkoły, zastałam pusty dom i jeszcze ciepłą zupę ogórkową na piecu.

Kiedy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku, jak zawsze wybiegłam rodzicom naprzeciw.

- Gdzie mama? - Nie wiem, czy zadałam to pytanie, pewnie tak, przecież pojechali razem, a tata wrócił sam. Musiało mnie to zaskoczyć.

Gdybym spisywała zmyśloną historię, teraz pewnie pojawiłby się opis twarzy ojca. Bladej, skurczonej, z zapadniętymi policzkami. Ale się nie pojawi, bo nie mam pojęcia, jak wtedy wyglądał. Chyba normalnie, nic mnie nie zaniepokoiło. Nawet to, że trzymał w ręku wrzosowy płaszcz mamy, jej czarną torebkę i kozaki.

Długo nic nie mówił. Zdjął buty, potem założył papcie. Skórzane, z dziurkami. Stał na środku korytarza, przodem do mnie. Tak, to pamiętam dobrze. Ten jego półobrót, uważne spojrzenie spod krzaczastych brwi. I brązowe, przybrudzone papcie wsunięte na czarne skarpety.

Mama została w szpitalu – powiedział.

Dlaczego? - spytałam, wciąż jeszcze bez strachu.

Tomograf wykazał, że ma guza mózgu.

Guza mózgu? - nie zrozumiałam.

Bardzo złośliwego guza mózgu. Mama ma raka.

Nie wiem, czy pojęłam grozę sytuacji po tym pierwszym zdaniu, czy tata musiał mi je powtórzyć kilka razy, wbijać do głowy jak tabliczkę mnożenia tępemu uczniowi. W końcu jednak dotarło. Rozlało się niczym smoła po całym cieple, zabrało oddech.

Nie wróciłam już do pokoju. Do otwartej książki, włączonego telewizora. Narzuciłam kurtkę na ramiona, włożyłam buty. Zbiegłam po schodach, a potem przez uchyloną bramę wypadłam na ulicę.

Nie pamiętam, jaka była pogoda. Czy spadały na mnie grube krople deszczu, czy może wczesny październikowy śnieg. Czy spotkałam kogoś po drodze, czy w oknach sąsiadów paliły się światła. Czy szczekały uwięzione za wysokimi ogrodzeniami psy. A może w powietrzu rozległo się nagle dudnienie kościelnych dzwonów? Może w oddali przejeżdżał pociąg i usłyszałam jego rytmiczne szuranie? Nie pamiętam. Wiem tylko, że biegłam. Na łeb, na szyję. Do utraty tchu.

Kolejną scenę znów widzę wyraźnie. Stoję na betonowych schodach bez poręczy. Naciskam dzwonek, wpatrując się w dwuskrzydłowe, drewniane drzwi z zardzewiałą klamką, które po chwili otwierają się z głośnym skrzypnięciem. Na progu staje Agata. Ma włosy związane w wysoką kitkę,

oczy mocno podkreślone kredką. Fioletowy, ażurowy sweterek i džinsy. Z wnętrza domu bucha ciepłe powietrze, w tle słychać telewizor i babcię przyjaciółki nucącą jakąś kościelną pieśń.

- Moja mama ma raka – mówię.

Tu wspomnienie się urywa. Nie wiem, czy poszliśmy nad zalew czy do parku przy kościele. Nie wiem, czy w ogóle gdziekolwiek poszliśmy. Nie pamiętam, czy mnie przytulała, pocieszała, czy udźwignęła ciężar, z którym do niej przybiegłam.

Nie pamiętam też powrotu do domu, pierwszej nocy bez mamy. Czy płakałam, modliłam się, czy pytałam jeszcze o coś tatę. A może czytałam, aż nie zaczęły kleić mi się oczy.

Wyraźnie widzę za to kolejny dzień. Jazdę do Tarnowskich Gór zapchaną do granic możliwości "piątką", szybki marsz przez rondo, Sobieskiego, Opolską. Gwar szkolnych korytarzy. I słowa Asi, mojej najbliższej klasowej koleżanki:

- Martwię się, że źle napiszę sprawdzian z fizy...

Milczę, więc po chwili niespokojnego przestępowania z nogi na nogę, odchodzi ode mnie, idzie martwić się z kimś innym. A ja siedzę – widzę to jakby zdarzyło się dzisiaj – siedzę oparta o ścianę pokrytą w połowie żółtą emalią i patrzę na nich. Na Asię, Sonię, Kasię. Opowiadające sobie w drugim kącie dowcipy, roześmiane. Na brzdąkającego na gitarze, naćpanego Michała, Olka jak zwykle błaznującego przed dziewczynami. Na korpulentną sylwetkę wychowawcy, przechadzającego się w oddali, z rękami charakterystycznie założonymi za plecami. Patrzę na nich wszystkich, jakbym oglądała film. Film, z którego nic, zupełnie nic już nie rozumiem.

Jeszcze jak

Za krótko się, Mamo, znałyśmy.
Anna Augustyniak

- Nie masz się z czego śmiać, mama nie żyje – powiedział Tomek, kiedy rozbawiona wsiadłam do samochodu. Obok mnie Asia i Sonia, które zawsze podwoziliśmy na dworzec.

Wiedziałam, że powinnam się rozplakać, ale nie umiałam. Wpatrywałam się tylko bezmyślnym wzrokiem w dyndającą pod lusterkiem waniliową choinkę.

*

Leżałaś w domu, tata nie chciał oddać Cię do kaplicy. Zakręcił kaloryfery w sieni, zamknął drzwi dzielące ją od reszty mieszkania, włożył pod trumnę siekierę i miskę z wodą. Mimo to i tak cały dom nasiąkał powoli zapachem żelaza i gnijących kwiatów.

- Już śmierdzi – powiedział ktoś, otwierając drzwi.

Tomek pojechał po cytrynowy odświeżacz w sprayu, którym spryskaliśmy firany.

Minęło dwadzieścia lat, a mnie zapach cytryny wciąż kojarzy się z trupem.

*

Po dwudziestu latach wciąż nie potrafi przejść mi przez gardło prośba: Opowiedz mi o mamie, tato.

*

Tata dzielił się żalobą ze wszystkimi: z sąsiadami, dalszą rodziną, nawet z klientami swojego sklepiku. Tylko ze mną w ogóle o Tobie nie rozmawiał.

*

Moje dzieci znają Cię wyłącznie z marmurowej fotografii. Nie mają pojęcia, jaki miałaś głos, jak się uśmiechałaś, jak czerwieniły Ci się policzki w rzadkich chwilach zdenerwowania. Wiedzą tylko, że byłaś spokojniejsza ode mnie, bardziej cierpliwa, że pięknie opowiadałaś bajki. Wiedzą, że zachorowałaś na guza mózgu.

- Ty nie umrzesz na raka jak babcia? - pytają.

*

Koleżanka z pracy, żona adwokata, załatwiła Ci tomografię na cito. Wieczorem siedziałyśmy na kanapie w dużym pokoju, pamiętam dokładnie, Ty po prawej stronie, ja po lewej. Przed nami pomarańczowa meblościanka na wysoki połysk wypełniona po brzegi kryształami.

- Boję się – powiedziałaś.

- No coś ty, mamuś – zachnęłam się.

Szukałaś pocieszenia, a ja potrafiłam dać Ci tylko swoją siedemnastoletnią beztruskę.

Nastolatki nie wierzą w śmierć, Mamo. Przepraszam, że nie byłam wyjątkiem.

*

W szufladzie komody, wciśnięty między lokówkę i wstążki, długo leżał Twój obcięty w młodości warkocz. Pasma włosów zawinięte w szary papier.

*

Lubiłam odrywać płaty spieczonej skóry z przypalonej kobaltem głowy. Leżałaś wtedy na moich kolanach - jak dziecko.

*

- Tylko z wami wszystkimi – mówił tata, kiedy życzyliśmy mu "stu lat". Taki rytuał, zaklinanie rzeczywistości.

- Moja pani – zawodził, kiedy umierałaś.

*

- To ja, wasze Cocollino – witałaś się z nami zdaniem z reklamy.

Odrywałaś mnie szpitalnymi telefonami od nauki, od czytania.

Jak mogłam normalnie żyć, wiedząc, że umierasz? Koncerty, spotkania z przyjaciółkami, randki. Świat się pali, a wariatka tańczy.

*

Wcale nie jestem teraz bardziej empatyczna. Przeciwnie. Na każdy problem mam jedną odpowiedź:

- Kiedy umarła moja mama, miałam dziewiętnaście lat. *Co ty wiesz o zabijaniu?*

Nie mówię tego, ale tak myślę. Z trudem udaje mi się ukrywać pogardę.

*

Kiedy dostałaś padaczki, tata myślał, że umierasz. Klęczał przy Twoim łóżku, przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i krzyczał:

- Nie zabieraj mi jej! Nie zabieraj!

Tak krzyczał mój niewierzący tata.

*

Nie miałaś apetytu, więc karmiliśmy Cię zupkami dla niemowląt. Pomarańczowymi pulpami bez smaku. Wypluwałaś dokładnie taką ilość, jaką udało mi się włożyć Ci do ust.

- Mamo, po moim ślubie nie chcę iść na cmentarz – powiedziałam, żeby zmusić Cię do jedzenia.

Wtedy pierwszy i ostatni raz widziałam, jak płaczesz.

*

U fotografa długo czyściłam zabrudzony cmentarną gliną brzeg białej sukienki.

*

Nie nauczyłaś mnie, jak być kobietą, Mamo. Nie zostawiłaś żadnej wskazówki, żadnego przepisu. Tylko ten na pomidorówkę na maśle, którą w termosie codziennie wozilaś Ci do szpitala.

*

W niedzielę jeździliśmy na obiady do restauracji. W dresie i wyliniałej peruce posuwałaś się wolnym krokiem między krzesłkami. Wstydziałam się Twojego wyglądu, Mamo. Wstydziałam się Twojego umierania.

*

Pamiętam Cię tylko w tych dwóch ubraniach: jasnozielonym szlafroku, w którym zawsze witałaś mnie w progu szpitala i w dresie. Szarej bluzie z białym napisem: *Play off*. Nadal trzymam ją w szafie. Zakładam, kiedy mi zimno.

*

Wciąż mam dziewiętnaście lat. Chodzę do liceum, zakuwam do sprawdzianów, pochłaniam tysiące książek. Ty nie przekroczyłaś pięćdziesiątki. Zostałyśmy zahibernowane w swoich rolach sprzed lat, uwięzione. Jak muszki w tężejącej żywicy.

*

Nie podałam Ci herbaty, Mamo. Zmęczona atakiem padaczki leżałaś w sypialni, a ja już w sieni zakładałam w pośpiechu sandały.

- Zrób mamie herbatę! - zawołał tata z góry.
- Spieszę się! - odkrzyknęłam i już mnie nie było.

*

Leżałam na podtrzymaniu z pierwszą ciążą. Niedzielne popołudnie, sala pełna starzejących się kobiet, podtykających ciężarnym córkom termosy z rosółkami. Wtedy pierwszy raz poczułam się sierotą, Mamo. Odłożyłam książkę i ukryłam twarz w poduszce, żeby nikt nie widział, jak płacę.

*

Po Twojej śmierci zaczęłam być zła na stare kobiety. Że nadal żyją.

*

Moje córki jeżdżą po sieni na rolkach. Śmieją się, krzyczą. Między nimi synek na plastikowym rowerku. Dwadzieścia lat temu w tym miejscu leżała Twoja trumna, Mamo.

*

Kuzynka przytulała Cię, całowała.

- Ciociusiu moja, ciociusiu! - zawodziła.

A ja stałam wciśnięta w róg pokoju i modliłam się, żeby nikt nie kazał mi dotknąć Twojej zimnej ręki.

*

Po Twojej śmierci tata czytał *Życie po życiu*.

- To ma sens – powtarzał. - To ma sens.

*

Zakręcanie śrub, trzykrotne uderzenie trumną o próg domu. Twarz ciekawskiej sąsiadki wyglądającej zza krzaków.

*

Siedzę przy biurku, a Ty obok pedałujesz na stacjonarnym rowerze.
- Wspaniale mi idzie, prawda? - Uśmiechasz się, potrząsając łysą głową.

*

Pochowali Cię w moich butach. W czarnych atlasowych szpilkach, w których kilka miesięcy wcześniej tańczyłam na studniówce. Do dziś nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób sąsiadkom udało się wcisnąć Twoje stopy do pantofli o dwa numery za małych.

Wyższa też byłaś, niemal o głowę. Nigdy Cię nie przerosłam.

*

- Miała twarz jakby przysypaną popiołem – mówił tata - od razu wiedziałem, że umarła.

*

Jaką część mnie pochowali razem z butami, Mamo?

*

Podobno najważniejszą rzeczą, jakiej matka może nauczyć córkę, jest umiejętność cieszenia się życiem. Odrobiłaś tę lekcję na szóstkę, moja uśmiechnięta, łysa Mamo.

*

Lubiłam słuchać, jak opowiadasz o dzieciństwie. O tym, jak jeden jedyny raz w życiu dostałaś od mamy lanie, kiedy nauczyciel za karę zatrzymał Cię w "kozie". O tym jak z ciotką Lucią ustawiłyście na parapecie puste pudełka po zapalniczkach, a jakiś mężczyzna myślał, że to sklep i miał pretensje, że nie chcecie mu niczego sprzedać. W końcu o tych nocach, kiedy zostawałaś w domu sama, bo tata już nie żył, a mama chodziła do miasta sprzedawać mięso. Byłaś dzielną dziewczynką, Mamo. Do samego końca.

*

Śniłaś mi się często. Najczęściej w trumnie albo w szpitalu. W moich snach albo Cię nie odwiedzałam, albo nie chciałam pochować. A przecież przyjeżdżałam do szpitala codziennie. Chodziłyśmy do stołówki na obiad albo do kawiarenki na poddaszu na sok i ciastko. Czasem, kiedy źle się czułaś, zostawałyśmy na sali. Skąd te sny, Mamo? Z powodu tamtej herbaty?

*

- Była pani dzieckiem – słyszę. - I czuła pani złość za tę odwróconą rolę. To ona miała być matką, a pani córką, nie odwrotnie.
- Złościłam się na mamę? - dziwię się.

- Oczywiście. Że umiera.

*

Pełgające między konarami drzew światło naszego letniego domku. Czekając tam na nas, kiedy po dniu pełnym wrażeń wracaliśmy na kolację. Nieprzerwanie od lat szukam tego okna, Mamo.

*

Nusiunia. Mówiłaś na mnie: Nusiunia. Jak to dziś obco brzmi.

*

Czy to nie dziwne, że po pierwszej nocy z małą córeczką, przestałam śnić koszmary o Tobie? Jakbym Ciebie nią zastąpiła. Piłka znowu wróciła do gry.

*

Najszczęśliwsze wspomnienie tamtych osiemnastu miesięcy? Wsparta na ramieniu taty wspinasz się po schodach prowadzących na strych, a my – Twoje dzieci bijemy Ci brawo.

*

Miałam siedem lat, kiedy zaczęłam się bać Twoich wyjść. Męczyło mnie przecucie, że nie wrócisz.

*

- Chciałabym, żeby to się wreszcie skończyło – powiedziałam.
Naprawdę to powiedziałam.

*

Czy gen choroby dziedziczy się razem z pięknym uśmiechem, Mamo?

*

- Kochasz mnie? - spytałam cicho. Leżałyśmy na tapczanie. Całowałam Cię i przytulałam. To była nasza ostatnia rozmowa, już się prawie nie budziłaś.

- Jeszcze jak – odpowiedziałaś.

Michał Witold Gajda (Września)

Nocne anioły

Magdzie Krytkowskiej

Jeden w granicie zasnął na nagrobku,
a drugi z twarzą na stoliku w barze.
Trzeci za jakimś kurwiszonem pomknął,
czwarty zaś umarł od nadmiaru marzeń.

Piąty z alergią na blask Mlecznej Drogi
siedzi z szóstymi, których jest trzech naraz,
w starej kotłowni, gdzie buzuje ogień
i o niebiesiech zapomnieć się stara.

Siódmego nie ma i nikt go nie szuka,
choć przy śmietnikach czasami się biał.
Bo nie on pierwszy spośród braci upadł,
żeby przystąpić do klanu meneli.

Ten po wylewie, pod ósmym numerem
spokojnie leży od paru miesięcy.
Chociaż ma skrzydła, przecież nie na wiele
mu się przydadzą, gdy nie wzleci więcej.

Dziewiąty chrapie, a dziesiąty pierdzi
sommambulicznie na starej ambonie,
wśród barokowych liści i gałęzi,
obok napisu BLISKO ŚWIATA KONIEC.

A jest ich tuzin, bowiem z jedenastym
dzisiaj dwunasty trwa na nocnej zmianie.
Obraca gwiazdy i na Ziemię patrzy,
jak wolno stygnie, i zmienia się w kamień.

Koniec baru U Jakubka

Deszcz przegonił kalendarz z sierpniową panienką,
pozmywał zdechłe muchy przyschnięte do szyby,
której chłodny od wody, rozstrojony ekran
pokazywał przed zmierzchem zmatowiałą fizys.

Puste niebo zaległo na lepkich stolikach,
gubiły piwną pianę klepsydry butelek.
Na ich szkle rozmazana szarzała ulica,
kiedy brudny klosz lampy zwiesił ślepy czerep.

Bezczynnie kamieniało paru suchych dziadków
śledzących dym kadzidła petów w popielniczce.
Zapadła wielka cisza świątynnego atrium;
bo za zmarłych pijaków przyszło chwilę milczeć.

Śmietnik

rozkład jest piękny i wabi bo przecież
jak grzech pociąga słodkawy choć ostry
zapach kuszący smrodliwym sekretem
muchy i wszystkich nieproszonych gości

tajemny impuls porusza materią
ożywia ciało i obdarza kształtem
który się roi barwą ciągle zmienną
przywdziewa zbroi chitynowy pancerz

masa się kłębi gubią się kontury
lecz ciągle czuwa niewidzialny szaman
rządzający światem chaotycznej rui
w nieustającym cudzie zmartwychwstania

Na wznak

na leżącego nie zwali się niebo
bo nie dostrzeże go wśród cieni zielska
nawet wysoko kołujący jastrząb

ludzie na drodze także nie dostrzegą
więc nie ma żadnych powodów by przestać
leżeć w ukryciu gdzie inni nie zajrzą

nie ma ochoty ani celu powstać
gdy wszystko ważne dzieje się tak blisko
pod chwiejnym masztem białego krwawnika

za parawanem łopianu i w ostach
gdzie w ślad za rosy zagubioną iskrą
czas płacze ścieżki i jak lis umyka

trawa jest miękka ciepłem dobrej matki
oddycha ziemią i jest wszystko jedno
czy dzień się kończy czy dopiero zacznie

bo pierwszy promień błyszczy jak ostatni
na świeżych liściach hymnem lub elegią
zgodnie kołysząc żyjące i martwe

Ostatnie chwile zabawy w remizie

Pod koniec krótkiej nocy okulały krzesła
i zastygły, oparte o spocone ściany.
A kapela wciąż grała i nie chciała przestać,
choć wszystkie jej nuty każdy znał na pamięć.

Firanki podfruwały przy otwartych oknach,
gdzie czerwiec siał swój zapach oraz gnojowica
na polach rozłożonych jak plebejska książka
o wiecznie suchym kacu nudnawego życia.

Wśród reliktywów świetności splądrowanych stołów
garowały zezwłoki spitych biesiadników.
Jedna para tańczyła, kiwając się wkoło,
bowiem przyszła tu sama i z własną muzyką.

W końcu poszli i oni w sobie znane miejsce,
lecz będą na zabawie za miesiąc w sobotę.
Bo stąd nie ma ucieczki, a każde odejście
jest pętlą, która zawsze kończy się powrotem.

Al fresco

potargał chmurom loki nieznany perukarz
zmierzwiona grzywa nieba burzy się i pieni
wypuszcza wodne tiule po dziwacznych stiukach
fasady blokowiska i sunie ku ziemi

na górze niespokojnej łamie się sklepienie
szuka miejsca dla siebie bezdomna hałastrą
greckich bogów i nawet wystraszony Ereb
pędzi w czarnym kapturze na rogatki miasta

plafon wolno opada by niedbale osiąść
na wyniosłych kolumnach fabrycznych kominów
wśród których śmierć się błąka z wysłużoną kosą
otoczona aniołów pierzastą rodziną

wszyscy święci zgubieni z grubych hagiografii
tułają się pod zorzą otwartych marketów
bowiem w blasku neonów żaden nie potrafi
znaleźć drogi powrotnej więc stąd nie odlecą

teraz są razem z nami na codziennym fresku
gdzie kształt i kolor ginie by zrodzić się nagle
gdy my idziemy czasu niewyraźną kreską
w korowodzie z aniołem z kostuchą i diabłem

Michalina Gałka-Nosiadek (Rydułtowy)

Czas nie znosi spóźnień

Patrz, z gracją znów topnieje marzec.
Za moment bulwary rozpychać się będą
jak rzeka, rozpędzać - nabierać wiatru w buty.

W rozdaniach młody lipiec
roześle podbicia uśmiechów. Sandały na drogę.
Za progiem powietrze i ostry smak parmezanu
zbierane częściej niż w klaserze znaczki. Daty

garbują twarze, mają cień szakala.
Wciągniemy biel oczami, ktoś sprawdzi rozkład
nabożeństw. A chciałoby się jeszcze raz,
kradnąc zamieć słońca, zapętlić w nowe
- zapisklić.

Z południa na południe

Wieczorami szlifuję kontury. Krzesła i stół
wypiły chyba cały pigment morza. Ale nie mnie przecież
znać się na kolorach. Wzdłuż cypla szczeniaki
rozmnażają pianę. Meltemi liże czuby, to wgryza
w gacie, do ucha przypiął cykady. Bezbłędnie

odgaduję wszystkie ciepłe myśli.

Liguryjski peron. Za pierwszym razem
skóra staje dęba. Ślizgam się po widok - gęsty
od klocków pod saraceńską wieżą i garbów,
co pstrzą się na wodach, jak przy herbacie z cytryną,
myki.

I tak, i nie - zadumka w porannym do Krakowa

Popielato, biomet wchodzi w niekorzystny.
Siecze - coś na kształt zacierki.
Grzęda pospiesznego udaje termofor,
myśli są owadem.

Jesteśmy przesłami zwodzonego mostu;
dotykam bądź czerpię źrenicą z dystansu.
Prześcięci przez kalkę zrywamy słońca
mroząc je impulsem w przystaniach własnych wysp.

Przyptyw. Niby-bajka o rzut rękawiczki.
Wśród lampionów pozwolę rozplatać
perspektywę na cztery, pięć, szesnaście.
Ale na litość, nie zaklinaj, bym łowiła
sushi pałeczkami.

Z prywatnej kroniki pomiarów

Południa bywają al dente, zwłaszcza kiedy sezon
otwiera okno na zziębnięte jutro. Przed gankiem
skrzypi grudzień - dziesiątki razy krzepnie,
niedogotowany. Czy zdołam ogrzać czas myślą?

Obiecałeś, że wyśnię plażę - złotą aksamitkę
wyciętą z rąbka ostrogi. Przecież powieki kleją się jak śnieg.
Zapadam w latoczność - czerwiec świerszczy na werandzie,
gęstniejąc od anyżu nad jednym z jońskich portów.
Zaczyna się odwilż.

Olbrzymka

*Jesteśmy jak karciane wróżby
- (nie)spełnieni*

Co nam szkodzi, by zaplątać noc w tatarak?
Ręka, rękawiczka? Wiązanie złotym nitami.

Pomyśl, stukotami fiakry spacer płynie
nad Dunaj. Z pełnią ubieram cyrkonie, przeglądasz
twarz w lakierkach. Mruczą światła,
kipi młode wino. Piszemy opus
na częstość oddechów. Przed wniebowzięciem.

Olbrzymka!

- częściej mniejsza niż opuszek, bledsza niż zaścianek.
Potrafi być
niewidzialna.

Nikommu nie mówcie.

Galimatias, galimatias

Pogoda jest albo jej nie ma. Rozsiewa szadź, szybko
władnie pewność, że składamy się z nieomkniętych zim.

Potrzebujesz osłoniętej od wiatrów mariny, siedliska
z cieplejszej cegły, gdzie lato kładzie palce
na nabrzmiąłych sadach i praniu.

Moglibyśmy odpłynąć od bazy,
kiedy zaczyna przypominać roztańczony huragan
- białe na białym z kołder i poduszek. To nic,
w kieszeniach drzemią przecież drobne
kształtki wiosen, ciepłowody. Pijemy z jednej szklanki.

Hanna Głok-Lejk (Juszkowo)

dziewczyna z obrazu Vermeera

dziewczyna w kobaltowym turbanie albo
z perłą
nie ma uśmiechu Giocondy
ale nieustannie
jest obiektem spekulacji

ci od brudnych myśli
szukają potwierdzenia
w jej lekko uchylonych ustach

ci od czystych
prędzej wykołają sobie oko
niż uwierzą w romans

gdzieś pośrodku
współczesna nastolatka
przed pierwszą randką
uczy się jej spojrzenia

obrazy rzadko mają
jedno zakończenie

Lucy in the sky with diamonds

włosy rozpięte
jak żagle
płynę do srebrnej zatoki
w poszukiwaniu zatopionych słów

twoje oczy
obiecują znaleźne
i udają latarnie

gdy wrócę
podzielimy się pół na pół

w Markowej

tuż przed świtem
kiedy zdrada
najłatwiej przechodzi przez ręce
zrównano trzy nazwiska z ziemią

a przecież niektórzy
mogli unieść
jedynie poranek lata

zabrano też dusze przedmiotom
bez tchu ułożone
posłużyły innym

po latach
odkopana w pamięci rodzina
wypuściła białe pąki w ziemi

nie dajesz mi wyboru

wygrażam pięścią
tobie i chmurom

lubię kiedy żar
spływa po sukience
coraz niżej i niżej
do stóp
skąd tylko krok
w zielone płomienie

zamiast

zimne krople
spadają na mnie
gdy u zbiegu ciał
podpalam stos

Janina Górecka (Pszczyna)

Cicerone

Chciałbyś ze mną nad Ganges,
gdzie rytuał oczyszczenia kręgami
rozprowadza prochy, a starcze ciała
noszą blizny ku uciezce turystów.

Nasze pragnienia mają inny źródłosłów:
twoja egzotyka jest z biur podróży,
nie znasz ucieczki z zamkniętego miasta,

ani czym czas przyszedł niedokonany.

Zamieniona w dalekomorskiego ptaka
ciebie zarażę chorobą końca wieku,
pełnego buntu wobec wojny i tradycji.

Skróciliśmy włosy, za czarne garnitury
sprzedajemy w marketach naszą młodość.
Szarzeją pochowane głęboko zdjęcia,
ale to żaden dowód

Głupia,

czego szukałaś w popiele pokrywającym
ulice o zapamiętanych nazwach.

Wszędzie zimne szkło, spoza którego
nie wyjrzy oczekiwana twarz,
więc koniecznie na dach.

Piętnaście pięter zbliża. Tak łatwo o lot

bliski gołębiom, jak dawniej obojętnym
na spojrzenia w dół.

Miasto hojnie rozdaje,
ale nie przywróci domu z czerwonej cegły.

Poczucie bezpieczeństwa odjechało
w nieznanym kierunku. Stoisz na przystanku,

choć

Miłość kobiety

Rozpięta między konarami ugina kolana
dosięgając każdego liścia, w jego cieniu
składa dary pełne słońca. Za ciepło
przyliska zamienia się nocą w sowę
i strzeże, strzeże przed chmurą na czole.

Nie odgadniesz jej lotu ku gwiazdom,
gdy skóra ma smak wygrzanej pomarańczy.
Nie odgadniesz czerni, gdy zanurzona
w dzień chowa głowę pod skrzydła.

Oto kobieta w tysiącach postaci.
Dla ciebie nauczy się mówić, kupi
najpiękniejszy kapelusz w kwiaty,
niczego nie żądając w zamian.

Wiedziałeś o tym?

błogosławione niech będzie kalectwo

od czasu wielkiego dotknięcia
najstarszą historię pisze braillem
dla braci o wrażliwych palcach

ich zmysły wyczulone na ślad śladu
szept szeptu odbijającego się od skały
pozostawionej jak drogowskaz

zamknięte uszy nie słyszą wykrzyczanych
prawd o barwie zależnej od wzroku
z ograniczonym punktem widzenia tych

którym wydaje się że wiedzą lepiej
a skazani na wybór kolejnego kroku
ulegają spętaniu przez strach
spoza granicy światła

Femme fatale

św. Paweł: żony niechaj będą poddane swym mężom (Ef 5, 22)

więc to prawda, dostał torsji na wspomnienie
kartek zapisanych twoją ręką. Od tej pory
drzewa milczą, ich liście drżą na widok mężczyzny,
któremu zawdzięczasz miejsce w szeregu.

Razem mieliście zwiedzać Lesbos, bo wierzyłaś,
że w jego żyłach płynie grecka krew. Odmówił.

Samotna na brzegu
(łuski fal unoszą czyste strony)
zaczynasz rozumieć.

Gregory Lemarchal budzi uśpione

po latach rozprawiłam się
z odciętą ręką
połową łóżka
i każdą inną połową
niewiarygodne milczenie
na temat
żeby nie odwrócić
biegu rzeczy
już poukładanych
zszywanie zajęło więcej
niż
przewiduje schemat
w czerni

i

nagle ty
rozsunąłeś kotarę

za nią pytania
czy gest wystarczał
za wszystkie odpowiedzi

Ewa Grochala-Włodek (Kraków)

Popielec (stylizacja)

Paczulowym olejkiem i esencją ambry
rosiłaś orchideę, nim ją dałaś żądnym,
wielbiąc własne odbicie składałaś mu hołdy,
we *łzach ostryg*, w łupieżach przed zgonem odartych.

Dzisiaj cicha, pokorna, schyliwszy ramiona,
wzniecasz płomień na dawnych, bluźnierczych ołtarzach,
abyś, kiedy już popiół wymieciesz do ziarna,
mogła - w *skórze delfina* – klęknąć przed Nim – nowa.

Kolia

Filigranowo cienkie, srebrne włókna
dekorują dekolt niedbale splątany splotem,
dyskretną elegancją rozjaśniając czerń.

Czerń w twojej myśli dominowała,
gdy dałaś mi tę cząstkę siebie;
wtedy nie wiedziałam, a dziś nie jestem pewna,
czy to byłaś ty, czy ona.

Ona. Jej mrok odebrał jasność twojemu spojrzeniu,
i przeniosła na ciebie wypełniający ją ból,
by stał się coraz bardziej nie do zniesienia,
żebyś w końcu zapragnęła uwolnić się do niego,
odchodząc wraz z nią.

A ja mogę tylko przesuwać w palcach nici z księżycowego metalu
jak paciorki różańca,
próbując podzielić się z tobą światłem,
które czasem udaje mi się na nich zapalić.

Zapisano w Księdze Sarkofagów

Oczy wielkiego kota wpatrzone w horyzont,
nad którym kiedyś wzeszła jego konstelacja.
Strażnik, lekarz, przewodnik, moc, co strach oswaja
czujnie strzeże tajemnic, zanim się przybliżą.

Łapy w pozycji sfinksa, pośrodku - granice,
między światłem a cieniem, wiedzą i ciemnotą,
pod jego legowiskiem starodawna mądrość
wiedzie w *sali zapisów* niewidzialne życie.

Jak w górze, tak na dole – to szept iskry boskiej,
utajonej w zielonym, lśniącym kaboszonie,
jedni go zlekceważą, inni – wezmą w ręce.

Żelazne *wrota czasu* otworzą się wreszcie,
zbliży niespodziewane, chociaż nieuchronne,
żeby gotowi mogli bez lęku iść w drogę.

i nie odróżnisz uludy od prawdy

*Wybrałam cię. Ale tobie pozostawię wolność wyboru. (...) Wybierz. Ale wybierz
rozważnie. Albowiem kto zbacza z drogi rozważni, odpocznie w towarzystwie cieni.*"
Andrzej Sapkowski „Żmija”

gładka i chłodna jak spokojna woda,
szafarka wilgoci i nasienia,
fascynuję, budzę nienawiść i zabobonny lęk

po moich zębach ścieka *aurum potabile*,
gdy je zmieszam z twoją krwią, wejdiesz w przeszłe i przyszłe światy,
zaznawszy pełni i spełnienia nim przekroczysz granicę

patrzę w wieczność z dłoni matki ziemi,
czoła faraona, posochu Mojżesza i laski Asklepiosa,
sama ze sobą, nacechowaną przeciwie, oplatom helisą kaduceusz,
zanim pochwycę własny ogon,
by pokazać, że koniec jest początkiem

pochylam głowę nad czarą panaceum
i *wina z gniewu Boga*

masz wolną wolę

Chodź, opowiem ci, i nie bój się, to tylko...

Odnaleźli się w Samhain, gdy gorzał horyzont
ogniem, niosącym ciepło zabłąkanym duchom,
on - w jednej części człowiek, a w drugiej – już truchło,
zaś ona - błędny ognik, co błyskał i niknął.

- pozwól, niech cię przytulę, dam dobro, opiekę;
- jesteś mi światem, w sobie - masz jak on - plugastwo;
- a więc będę dla ciebie - Madb, stale pijaną;
- nigdy cię nie opuszczę, a ty - nie odejdiesz;

Odkąd przeszedł, wśród bólu i zapiekłej złości,
na drugą stronę ciężkich, granitowych wrzeczadz,
składała mu ofiarę płomienną i kwietną,
za którą nieustannie dostawała oścień.

czas martwego ziarna

pełnia
noc ma barwę i konsystencję rtęci
ruch bezliku kuleczek umykających błyskiem
by bez końca zlewać się w jedność i rozmieniać na drobne
i jeszcze drobniejsze

...przeszedłszy wąskim gardłem na tę drugą stronę
przycupnęła na miejscu, które jej wskazano,
drżąc ze strachu i bólu czekała, co będzie,

aż niewielki tobolek złożono jej w ręce;
ten kłęb ochłapów krzyczał i pulsował krwawo,
i miała go tak tulić prawie w nieskończoność...

łatwiej jest trwonić niż zachować

suma strat przypomni o sobie między płaczem a zgrzytaniem zębów
kiedy słońce wszędzie roztopionym złotem

Leon Gutner (Olsztyn)

List w butelce

Ściśnięta tak jak list w butelce
czytałem krzepiąc czas earl grayem
niechby i wszystko jedno jeszcze
kto płacze albo kto się śmieje
do ręki wpływa w tym upale
pergamin skaleczony żalem

na samą myśl o takim piasku
robi się drobno przed oczami
ty czasie słony słowa maskuj
niebo przelewa chmur aksamit
jak tu do siebie wrócić teraz
kiedy mi przyszło myśl rozbierać

słowo od ciebie zagubionej
nadziejo moja bryzo morską
w zielonym szkle spisany koniec
wiatrem niesione znamię rozstań
a tylko morze pędzi fale
które pozwolą brzeg odnaleźć

złamałem wielką tajemnicę
korespondencji bólu żalu
nie wiem czy mogę tak to widzieć
gdy dal przemyka się za dalą
w czasach gdy krzyczą telefony
listem w butelce nikt nie dzwoni

Piosenka dla madame

Próbujesz zrobić krok Madame
z czułością i uśmiechem
balowa sala trzeszczy
w szwach
a ściany gryzie echo

zegary stare milcząc klną
zastukał obcas w ciszy
ze wszystkich wzruszeń leczysz
krtan
za późno nikt nie słyszy

dochowam ci czystości złej
jak w tajemnicy starej
życzeniem mało skromna
chęć
poskromić co się żali

a potem tańcz niech płynie czas
bądź ciszą i muzyką
czekałem na to spójrz
to ja
ten który przybył znikąd

i tylko mi nie pozwól rąk
zatrzymać gdy wędrują
pocałuj jeszcze raz
Madame
jak inne nie całują

W oderwaniu

Oderwana od nocy zagubiona w sobie
spod czerwonych spuchniętych i zamkniętych powiek
wyrwana jak z czerni wylana z łez słonych
nie potrafi złapać
nie da się dogonić

przyłatana do półdnia uwięziona w tobie
spod zgniecionych rozdartych słów co znaczą człowiek
wyszarpana nocy topi czas nieskromnie
ale już niczego
nie zdoła zapomnieć

przyszyta do cienia zatracona w chwili
spod wzniesionych rozdartych zapleśniałych bylin
wycieka przez szpary sączy czas szczeliną
zanim znów w nieznane
zacznie z tobą dopływać

zatrzaśnięta w sensie pragnąca dla ciebie
spod ciasnego zimnego koniecznego *nie wiem*
zamienia czas w ciszę wznosi dal do oczu
ale już niczego
nie potrafi poczuć

zanim jej się uda całe wieki miną
nikt nie wytłumaczy że to przecież miłość
skropli się jak para zastygnie gdzieś w przerwach
ale już od nocy
nie da się oderwać

Stan

Jeszcze nie byłaś nigdy sama
a to przedziwny stan
nie można wtedy bardziej kłamać
bo coś zaciska
krtań

ty bywasz tylko często senna
gdy noc przymyka drzwi
i każda twoja jasna pełnia
nie zmienia ani
krzty

a teraz jesteś tutaj ze mną
godziny ledwie dwie
to obecności żadna pewność
ale nadaje
sens

twój oddech wolny odruchowy
wciąż tłoczy tlen do płuc
nie można już niczego zrobić
a przecież chcieć to
móc

i wzdycha tylko trwała pewność
że tak umiera czas
w zasadzie jest mi wszystko jedno
co mija a co
trwa

cisza przyniesie twardy dowód
nie będzie słyhać nic
skroplona chwilą w kryształ lodu
ochłodzisz aż do
krwi

Ballada o *zanim*

Przyszła jesień
i się niesie jak bogata pani
za jesienią cicho drzemiąc idzie wolno *zanim*
a to *zanim* takie dziwne senny zimny spokój
po nim wszystko szybko znika
w ciszy
albo w mroku

zanim liście
ulic czyściec spłotą i ułożą
grudzień wezwie zimę westchnień mroźną białobożą
nagle spotkam cię w przestrzeni lekko podotykam
trzeba mi takiego czucia
trzeba
przewodnika

gdybym nie mógł
nie daj przebóg znów się z tobą spotkać
w alej stali niech się spali listopadość słodka
zanim znowu wzniesie obóz niedokonań trudnych
nikt już nas ze sobą wtedy
niczym
nie poróżni

niech ta spowiedź
w twojej głowie rozgrzeszenie znajdzie
bo na ławkach w płochych sprawkach nic nie siedzi bardziej
zrobi swoje głupie *zanim* ale już nie z nami
my się wreszcie kiedyś pewnie
znowu
odszukamy

śnieg zapada
świat zagada niepotrzebne stany
nie wywalczy bez tej tarczy już niczego *zanim*
nieświadome nie jest wcale wszechpotężnych stęsknień
ani tego że ubrana
byłaś
tylko we mnie

Tym razem

To pustka na stole
i cień na podłodze
to wieczór co poległ
zwyczajnie
jak co dzień

w reklamach piosenkach
od łez tak jak zwykle
ząb czasu w chwil szczękach
wciąż nie wie
czy przyjdzie

a może tym razem
nie czekać po nocach
w przedziwnym tle gazet
że Boże
się pożał

nie koi papieros
choć jeden po drugim
żarówek złych xero
nie starczy
na długi

rozgrzeszam minuty
zastygam pomarzę
spróbuję ból upić
lecz tylko
tym razem

Marek Jastrząb (Bydgoszcz)

Relacja

Film jest sensacyjny i umrzyków w nim więcej niż ludzi na widowni. Denaci są wszędzie: rozmazani na ścianach, skręceni w krwawy precel na piwnicznym betonie; tu oderwana główka, tam rzewne wspomnienie po kolejnym zafajdanym Harrym.

Odkrywczy szablon reżysera jest taki: partner kropniętego, dajmy na to Bond-bez-zer, postanawia zemścić się i robi to przez bite dwie godziny z przerwą na siku. Grzebie w hałdach złoczyńców, w końcu po wielu przygodach znajduje właściwego, wślizguje się do bandy jego kumpli, zaprzyjaźnia, a w międzyczasie zdrowo popija z tutki i na zakąskę przeżywa odejście ukochanej flądry, która ma go powyżej, poniżej i ogólnie gdzieś.

Bond, to gliniarz po dziadku, ojcu i jego braciach, funkcjonariusz z rodzinnymi obciążeniami. Nie lubi dyskutować z rozterkami: naprzód strzela, później głowi się, po co.

Generalnie akceptowany nie jest. Zarówno przez środowisko krawężnikowe, jak seryjną patologię. Mruk; rzadko coś powie, a jak już powie, to nie wiadomo, śmiać się, czy płakać.

Pracusz. Przeważnie gania po dachach i schodach kamienic z podejrzanymi lub ściga wraże cztery kółka, po czym idzie na odwach spisywać fajansiarskie raporty. Konfliktowy. Nie znosi szefa. Nie trawi życia towarzyskiego. Samotnik. Czasem zdarza mu się oberwać. Wtedy ceruje sobie jestestwo z miną co najmniej znudzoną, palcami odkażonymi w whisky wydłubuje kulę i udaje się z przeprosinową wiachą do byłej kochanki.

Tu następuje psychologiczny fragment filmu, bo kobieta ma w oczach przebaczenie. Prędko więc dochodzi do wzajemnego pojednania; ekran trzeszczy od sodomy i gomory, a oglądający naród ma wkalkulowaną w bilet erotykę z figurami.

Rośnie temperatura, buzują hormony, w tle widać rozczochrane łóżko, a na nim, nie ulega kwestii, jakie to golasy i czyje piszczele; sine barwy znikają, pojawia się róż, brzmi sentymentalna piosnka, zapalone świeceki pełgają kusocielsko, mrożony szampan pyszni się w kubelku, lecz idylla zostaje przerwana, bo na arenę wydarzeń wdziera się zamaskowany oprych z kałachem, który strzela aż miło; gdzie popadnie i w rezultacie trafia w łaskę, z której wymyka się ostatni dech.

Natomiast Bond jest w swoim żywiole: kładzie trupem faceta i na ekranie zostaje mokra plama w kominiarce. Po czym, by nie tracić czasu, akcja przenosi się do Stambułu i nie wiadomo dlaczego jestem razem z widzami wśród mrowia minaretów, bazarów, w płątaniu ciasnych uliczek przetykanych gwarem.

Reżyser jest malarzem kamery. Nie jakimś tam przeciętnym pejzażystą, ale mistrzem klasy B, poetą wyczulonym na grę światła, na eksponowanie kwiecistych barw pstrokatych kobierców, które mieszają się z rumianym kolorem pyzaty straganiarzy i gdzie widz nie spojrzy, tam dostrzeżę ścisk, potrącankę, przepychankę, łysy czerep Bondy zmierzającego do meritum.

I w tym momencie musiałem wyjść, a jak wróciłem, to dawali następny.

Bajka dla pracowitych

Wśród akuratnych krasnoludków pojawił się leniwy bęcwał, którego nikt nie mógł zawrócić na drogę wyznaczoną prawdziwym krasnoludkom, co to każdą robotę odwał chętnie, składnie i za frajer.

Zakała - zgodnie orzekły duszki, bo taki margines działa na innych jak zaraza. Trzeba go

wychowywać, pobłażać mu, mieć oczy na zawiasach, co kwartał zmieniać obwolotę... Ale ten krasnal wyrósł na tęgiego formatu naukowca i czego się nie chwycił, od razu było uważane za ósmy cud świata. Taki był zajadły, że nawet prototypy wychodziły mu od razu ulepszone: kosiarka na topiony smalec, bronchit z ulęgałek, paskudne kaczątko z dziobem do natychmiastowej wymiany, buty bez kota i żelazny wilk z plastikową kitą. Wynalazki te budował w pocie czoła po to, aby się wszystkim jakoś majtało.

Któregoś jednak roku pod ludzkie domostwa zbliżyła się odwilż, więc skrzaty przeleciały się po umysłach i wykombinowały, że trzeba zmienić porę roku. I tak się stało; zamiast wiosny, zdarzyły się wykopki. Lecz że nie było co kopać, na początek wykopano z posady krasnala - wynalazcę, by sobie za dużo nie sądził.

Bajeczka o reorganizacji

Wstęp

Wakowało stanowisko i należało je zapłacić. Problem ten zakwalifikowano do łatwych: starczy skrzyknąć wolnych znajomych i do ataku. Ale nie w moim miasteczku, gdzie znajomych brakuje od tysiącleci; godne zaufania osoby siedzą po mamrach, a niedobitki smutasów walają się po rozdrożach.

Po długotrwałych debatach uradziliśmy, że zanim znajdziemy NOWEGO, sprowadzimy z sąsiedztwa zastępczą niedojdę i już na miejscu dokonamy odpowiedniego szkolenia.

Rozwinięcie

Zazwyczaj senna dziura, ożywiła się pod wpływem świeżego niezguły. Stary przestał już rozbawiać kogokolwiek. Wypompował się z entuzjazmu. Razem ze swoim ociążalym dowcipem, melancholijnie truchtał pomiędzy płotami, powoli gibał się na nagrobkową stronę, zamyślał na nieznaną intencję, drzemał w pozach co najmniej sprośnych. Ręce miał znoszone, brzuch nieforemny, a nogi sękaty.

Nadawał się na złom dla clownów. Jego kawały nikogo już nie bawiły i nadaremnie potykał się na bananach. Rzucanie tortem w burmistrza też było nudne za setnym razem.

Nowy był za to śmieszek i jajcarz tryskający zaraźliwym humorem. Był to facet młody, jeszcze nie potłuczony przez życie, żył samotnie i oszczędnie, a najważniejsze: miał własny sprzęt rozweselający.

Nazywano go Głupi Jaś, ale po godzinach zwał się mgr Biznesmen. Jak to nowy, nie zostawił na nas suchej nitki, a na deser sparodiował sam siebie.

Zakończenie

Tymczasem, gdy młody łupał dowcipem, jego poprzednik przechodził na emeryturę; przygasł, oklapł, pożywiał się kleikiem i łowił nieświeże ryby.

Podanie do laryngologa

Jako osobnik doszczętnie zakompleksiony, odczuwam deficyt pochwał. W związku z tym zachciało mi się dowartościować ewentualne wnętrze.

Na ogół (przeważnie nigdy) tego nie robię, ale dzisiaj mam ochotę na złożenie sobie ukłonu. Gdyż ostatnio czuję się mało rozrywkowo; medialne nośniki mnie olewają, na froncie rzeczywistości wiedzie mi się pod wiatr, wszędy mi nędznie i zaledwie.

*

Pomnę, że przedtem nie było dnia bez czapkowania: ciągiem gadało się o mnie. Gdzien nie bywał, witano mnie osolonym chlebem, a delegacje robiły wyścigi o pierwszeństwo do obłapiania mi kolan.

Trafiałem do radia, w telewizji siedziałem na okrągło. Praktycznie mówiąc zmieniałem tylko pokoje z audycjami, tak że nieraz trudno było mnie odróżnić od prowadzącego program. Udzielałem wywiadów, porad, wskazówek, jak żyć, jak pójść po rozum do cudzej głowy, gdzie dają dobrą kawę i co ugotować z gwoździa.

Nie stroniłem od plotek, insynuacji, pomówień, specjalizowałem się w zdradzaniu przygód koleśki z towarzystwa.

Pytano mnie o różne różności, o kierunki i trendy gdzie bądź: w pacykarstwie, w klasycznej literaturze i literaturze awangardowego zaplecza. Odpowiadałem, snułem dywagacje, przypuszczenia, prorocтва i wizje. Krótko mówiąc, wyrażałem troskę, zawieszałem głos, w odpowiednich miejscach robiłem wymowne pauzy, jakbym się na tym znał.

Z dumą patrzyłem na dęte orkiestry wyprężone w karnych szeregach, na perony zagracone burmistrzami w przepisowych tużurkach, na rajców spędzonych służbową ciekawością oraz na okoliczną dziatwę z transparentem, na cały ten wiwatujący tłumek składający mi hołd.

Po przyjeździe do lustrowanej miejscowości otwierałem podręczny plecak i wysypywały się z niego prezenty, choinkowe fintifluszki, jakieś bombki, gwiazdki, połyskliwe suweniry w formie autentycznych lizaków, cukierki w szeleszczącym pozłotku.

Wtedy słyszałem dosłowny furkot uwielbień. Spragnionym uchem łowiłem co lepsze kawałki entuzjasmów. Serce pływało mi w rozkoszach, omdlewało w unizonych oklaskach, szmerkach aplauzu, niekłamane go podziwu i kaskadzie braw.

*

Lecz zanim do tego doszło, musiałem się wiele nauczyć. W momencie, gdy postanowiłem, że najważniejszą i nieprzepartą dla mnie drogą jest uparte dążenie do kariery, sukcesu, bezkompromisowego i zupełnego panowania nad resztą ludzi, a co za tym idzie - do wszechwładzy nad mierzwą, zrozumiałem, że muszę posiąść taktyczną umiejętność sterowania masową duszą, nagminnymi poglądami, odpowiednim kształtowaniem tychże. W momencie niniejszym spostrzegłem, że aby ów cel osiągnąć, powinienem zapoznać się z mechanizmami stosowanymi przez nich.

Podpatrzeć już obecnych, już głośnych, już oswojonych ze światłami jupiterów i rozpoznawalnych, i ambicjonalnie spełnionych, takich, z którymi zdecydowałem się utożsamić. Nauczyć się mówienia sprzecznego z myślą.

Na początek przyjrzałem się sposobom, jakimi przyssali się do miejsc, w których zamierzałem być. Obserwowałem je z daleka, ukryty za gazetami, radiem, internetowymi portalami, za telewizyjnymi wystąpieniami obnażającymi ich umysłową mizериę i ostentacyjne prostactwo.

Poddałem ocenom, surowym analizom ich wystudiowane miny, mowę ciała, to, jak siedzieli, pewnego rodzaju metody bycia na luzie, a w trakcie tych analiz doszedłem do wniosku, że mizeria, prostactwo, nonszalancja, rzekoma pustota ich zachowań, to tylko pozór, gra, technika, element szerszej układanki, zimny, wykalkulowany proces siłowego zaistnienia: oficjalna maska na doraźny użytek. Że kierują swoimi gruntownie przemyślanymi postępowaniami, te zaś są adresowane do potocznej publiki.

Oficjalne, stosowane z premedytacją, cynizmem, udawaną bezczelnością, różniły się od prywatnych, bez makijażu, źle widzianych, odartych z widoku fleszy, wyposażonych w kostropatą

codzienność.

Osobiste, wykraczające ze sztucznych, populistycznych ram, nie miały nic wspólnego z dekoracjami medialnego teatryku. Oddaleni od środków masowego rażenia, wolni od strojenia min i wypuczania klat, na urlopach z rodziną, nieoczekiwanie okazywali się interesującymi, skromnymi wrażliwcami, postaciami o niebanalnych poglądach. Lecz z chwilą, gdy z famułowej samotni powracali do szpanowania i kabotyństwa, zaczęli dobrze płatny udział w przedstawieniu pod wezwaniem HUCPA.

Jest tu jednak niebezpieczeństwo: pomylą się strony i po karierze. Jak w pracy zapomnisz wsadzić właściwą maskę, to migiem stracisz kontrolę nad sobą i zamiast prześmiewcy – szubrawca, pokazujesz światu twarz uczciwego człowieka wyrażającego prywatne przekonania. Trzeba się więc pilnować, stale baczyć, z czego masz chleb.

*

Nastał dzień, kiedy i mnie to spotkało. Naraz przestano mnie zauważać, adorować, pić z warg każdą myśl. Nastąpił szarawy i mdły czas: różni tacy odesłali mnie ad acta i powskakiwali na miejsce moich prerogatyw.

Urwały mi się tłuste lata, a tam, gdzie wziąłem się na odwagę i poszedłem odzyskać utracony honor, odmówiono mi najprostszych wyrazów współczucia. Do tego stopnia, że spotkało mnie skandaliczne walnięcie drzwiami w nos i od tej pory mam poważne kłopoty z przetrąconą przegrodą: smarkam na potęgę i tak mnie łupie, że szkoda słów. Upraszam więc o zajęcie się moim zawodowym cierpieniem. Proszę również o pomoc w wypełnieniu wniosku o przyznanie mi renty.

Kraczydła

Przeptaszenie stało się ciałem; na dzień dzisiejszy jest nas dziesięć, no, może dwadzieścia miliardów z hakiem i całym pogłowiem objamy się na drzewach. Natomiast na dzień wczorajszy było nas, średnio licząc, ze dwa razy mniej.

Poprzednio nie mogliśmy swobodnie drzeć mordy, bo każdy ptaszek miał swoją prywatną gałąź, konar z podsłuchem przebrany za dzięcioła. Teraz, jak wszyscy, mamy sublokatorów. Im kto wcześniej zaczyna zawodzić, tym prędzej wyrzeczy sobie większą substancję odpoczynkową – tego też co rychlej przenoszą aż pod koronę drzewa, gdzie przewidziano dla namolnych większe metraże, znośne warunki, istne raje.

Z czasem i dla nich wprowadzono szlaban na kłapanie dziobem. Kto został przyłapany na lamentowaniu bez zezwolenia i pytlował na dziko, tracił prawo do stałego zasiedlania gałęzi. Z punktu dostawał skierowanie do bajora na zadupiu i tam, do upadłego, mógł zajmować się roszczeniami. Niewielu więc było chętnych do oficjalnego kręcenia dziobem. Ten, co pomstował po cichu i na pół gwizdka, bez uprzedzenia zostawał odgórnie doceniony i mógł dopraszać się podciągnięcia pod ulgowy przepis gwarantujący możliwość zasiedlenia całego drzewa. Wtedy wywyższał się na swojej powierzchni, puszył się, szarogęsił i kokosił ze swoją metrażową pomyślnością, aż wszystkich przestrzennie upośledzonych za mocno kłuło to w oczy i nie było wyjścia: musieliśmy przywołać go do porządku i, dla przykładu, walić go w cztery litery, by nabył ogłady.

A cały ten galimatias z zagęszczeniem powstał z powodu wron; wrony od zamierzchłych czasów żyły w opozycji do logiki:

- a) opowiadały się za demokratycznym znoszeniem jaj,
- b) zawzięły się na nas złośliwie postanawiając przekształcić się w liczniejsze stado i zajęły się nauczaniem śpiewu.

Jeremi Jastrzębski (Lublin)

*** (widzisz)

widzisz
świat nie jest doskonały a ty myślałaś
że doskonałe są jego przejawy
wybierałaś je jak kwiaty
które komponowałaś w bukiety
zbyt perfekcyjnych dni

a teraz idziesz z niedoskonałym Jeremim
przez niedoskonałą dzielnicę
do niedoskonałego pokoju
w niedoskonałą przyszłość

i wciąż myślisz o zbyt niedoskonałej przeszłości
i marzysz o najgorszym mężczyźnie
ojcu Twojego dziecka które jeszcze Ciebie nie kopie
nobody perfect

bo doskonałe kobiety lubią kolekcjonować
równowagę we wszechświecie
i modlą się do ikon niedoskonałych facetów
dlatego nie wsiądę z tobą do autobusu
razem z wózkiem i rowerem

i odjadę na poszukiwania siebie
bo w swojej niedoskonałości
jestem zbyt perfekcyjny
na zbyt wiele sposobów
i z pewnością nie jestem
zwierzęciem które możesz pokochać

mimo wszystko i wbrew wszystkiemu

***** (nie ma nas razem)**

nie ma nas razem
ale jesteśmy obok codziennie

taki paradoks nie osobno
w parze której nie ma i jest razem
jednak

znamy lepiej swoje oceany myśli
niż kochankowie dotyk miłości

pamiętam że kiedyś modliłem się
do Twoich aniołów by dostać szansę
na zastępstwo wbrew logice dziejów

a teraz zostałem stróżem twoich niebios
choć bliżej mi do roli świętego Józefa

codziennie pomagam ci odszukać
lichą stajenkę bo nie chcesz wstąpić
na wieki do mojego królestwa
tylko marzysz o powrocie donikąd

***** (nie jest moją koleżanką)**

nie jest moją koleżanką przyjaciółką
dziewczyną narzeczoną
a nawet kochanką

codziennie czekam przychodzę
i jestem o ustalonej porze
a potem unosimy siebie
w zbyt zatłoczone miasto
by dotrzeć powoli do istoty rzeczy
pomiędzy niezycziwymi wspomnieniami

wtedy zanurzamy się w swoich słowach
zachłannie mówiąc i słuchając

przytuleni duszami bez jakiegokolwiek
dotyku krążymy wokół swoich orbit
w niekończących się awariach grawitacji
i zdrowego rozsądku

dziwna z nas para
poeta na rowerze i kobieta w ciąży

oddechamy swoim powietrzem
niekiedy je kradnąc lub pożyczając
a mimo wszystko wiemy że nie będzie
jutra bo nie zostałem zbudowany
dla ciebie przez Boga

widać musiał wtedy zapalić papierosa
by uporządkować myśli i zapomniał
czegoś mi dodać dla lepszego efektu

i tego mi zabrakło by uwieść Ciebie
i tego mi zabrakło by poznać przyszłość
i tego nie mam na wieki wieków

Jan Stanisław Kiczor (Warszawa)

Bieszczadzkie nostalgie

*...A oni doszli
i drogi swojej już nie zmieniają,
a cóż wy
którzy jeszcze idziecie?...*
/Napis nad bramą cmentarną przy kaplicy św. Dymitra
w Jaworzcu/.

Przysiadłem w takiej ciszy przebrzmiałego gwaru,
gdzie tylko sad zdziczały przez pamięć złych czasów;
senność spływa z połonin, nikt nie trąbi larum
i pieśń cerkiewną nuci ikonostas lasu.

Coś się musi zabliznić, obrosnąć w pokrzywy,
zapachnieć lulecznicą, złocieniem wzdłuż szlaków,
lub otulić gęstwiną lasów litościwych,
jak ten Chrystus Bieszczadzki siedzący na pniaku.

I jest w tym wędrowaniu ochoczy śpiew drozda,
buki które co jesień, płoną każdym listkiem,
albo mgły które jakby przypadkiem ktoś rozlał
po grzbiecie Hnatowego, czy też po Caryńskiej.

Anioły moczą skrzydła w Szmaragdowej wodzie,
przysnął Harasymowicz. Śni Rawki światłocien.

Współczesność

Z planowanych dobrodziejstw kręactwa i łgarstwa,
mitycznej tolerancji i róbtą co chceta,
zbudowano „poprawność”. Z mordą pełną kpiarstwa,
relatywizm sprzedają w ozdobnych pakietach.

Nie ma żadnych świętości, gdy świetlistą drogę
w jedynie słusznym celu, wskażą towarzysze.
W ramach walki z ciemnotą, świecą supernowe.
Na rozstajach ktoś zbłądził. Lecz do światła przyszedł.

Później w marszu poparcia, lub w marszu – przeciwko,
poczłapiemy bezwolnie, wzniesiemy okrzyki,
damy upust wolnościom skrywanym za szybką;
by natychmiast pozostać gdzieś, dla kogoś – nikim.

Ktoś za nas już pomyślał, rozum nam wymościł,
Byśmy dobrze się czuli – w tłumie samotności.

Nadzieja

Możliwe, że zostałem „obrzydliwym” starcem,
Możliwe też, że ciągle jestem wierszokletą;
Los mi (za coś zeżłony) przeznacza kuksańce,
I słowa wybrzmiewają jak donośny rechot.

Lecz się przyzwyczaiłem jakby sam do siebie,
Może trochę z lenistwa, z braku silnej woli,
Nie straszą przebudzenia na izbie wytrzeźwień
I nawet, drżącą ręką coś bym nagryzmolił.

Gwiżdże czajnik – niech gwiżdże, piwem się pokrzepiam.
Własny pies, mój „przyjaciół”, nie chce ze mną gadać;
Chciałem wyjść z nim gdzieś w miasto, ale w jego ślepiach
Wyczytałem dogłębne i dosadne – spadaj...

Lecz na diabła ten cały, zbędny confiteor,
Dam sobie jeszcze szansę (tylko znajdę grzebień);
Właśnie gdzieś wyczytałem myśl Osiatyńskiego:
Wstań rano, zrób przedziałek, odczep się od siebie.

Mimochodem

Drzwi otwierają się na każdą stronę,
Południe czasem przemyka przez okna,
Na ścianach wiszą teksty starych nowenn,
Firana błyszczy jak znoszony ornat.

Sens w tym odnajdziesz (choć jest to bez sensu),
Bo najważniejsze (i może się zdarzyć),
Że szukał będziesz różnych precedensów,
By do właściwych zwracać się ołtarzy.

To tak na poczet wszystkich naszych szaleństw,
Z niewiary w wiarę, lecz częściej - odwrotnie,
Bo może dzisiaj Boga nie ma wcale,
Lecz jutro, kto wie? Może gdzieś go dotkniesz.

Lecz zważ, byś czasem, przez chęć własną,
Imaginacji nie pomylił z Bogiem.
Drzwi wciąż otwarte mogą się zatrasnąć
I sam zostaniesz, zaplątany w trwogę.

Rozedrganie

Nie mogę Cię odnaleźć. Szukam po kieszeniach,
wśród pomiętych papierów, w których może jesteś
zniekształconym adresem, prędką metaforą
stworzoną na użytek kruchej przyjemności.

Patrzemy wciąż tak samo – widzimy inaczej.
Wynajduję po kątach rozrzucone ślady
własnej nadaktywności, czy też może żalu,
że znikąd nie nadeszło dla mnie rozgrzeszenie,

choć pokutę odbyłem przed nastaniem zimy,
pielęgnując w pamięci co chciałem ci wyznać.
Teraz czekam na ciebie i miejsce w zaułku
gdzie się nasza wzajemność spełni nieodpłatnie.

Już mrok. Rozbłysły światła sklepowych neonów
i manekin z wystawy puszcza do mnie oko.

Z boku na bok

Nie ma namacalnego. Wszystko tylko cieniem.
Z jakiejś imaginacji wylupany fragment;
Widzę kontur – dotykam. A on nie istnieje,
Lub gęstniejąc kształt własny z wolna zmienia w magmę.

To jest sen zbyt bolesny, by przetrwał codzienność
W której osierocenie biegnie po chodniku
I niepewność ma w ruchach i twarz ma niejedną;
Słabnąc - ciszę znajduje w kępie żywotników.

W pamięci komputera niedomknięte wersy
Wiotczają w tyglu znaczeń, którym gdyby nadać
Taką formę zawiłą, w taki ubrać język,
Że się wyśni martwota w barwnych cepeliadach,

To kształtów by nabrało i drzewo i kamień.
I murem mur by został. I pamięcią – pamięć.

Bożena Kluszczyńska (Sosnowiec)

kolejny etap dojrzewanía

pokój urósł
z siedmiu do piętnastu kroków
i wciąż rośnie
podobnie jak wanna złoźnica
nie chce wypuścić z objęć

słowa w nieznanym języku
odbite od ścian wyfruwają oknem
oddalają się i oddalają

z bliska gorzej widać

Judytę od raju dzieli wysoka brama

klucz w genotypie
musi odnaleźć go pośród rupieci
przyzwyczajęń zgromadzonych przez lata

i jeszcze dwa solidne kroki
by mogła cieszyć się zapachem
bez lęku zajrzeć w oczy

spogląda przez szpary w murze
jakby chciała się precisnąć

sześć tygodni odwyku

rozmażane kontury wciąż dominują
proces zalicza się do tych cierpliwych
nic na siłę
by wygrać trzeba grać

jutro sprawniej pójdzie rozmowa
a emocje zmieniają polaryzację na flautę
ziołowy środek placebo
babka zaklinaczka przy łóżku

Judyta zna wszystkie objawy
rozczarowania
zostały puste kieszenie i dłonie
pigułka szczęścia i trzeźwość
są niedobraną parą

ramiona bolą pustką

Halina Kobiela (Bochnia)

Kamil

Jeśli zaczynam komuś wierzyć,
to małym chłopcom z błyskiem w oku,
tym co nie lubią siedzieć w miejscu,
mieć święty spokój.

Marzenia mają nieprzeciętne,
a najważniejsze jeszcze wierzą,
że wszystko w życiu jest możliwe,
wysoko lecą.

Odtąd już będę bacznie słuchać,
co mają mi do powiedzenia,
bo ich optymizm zaraźliwy
i wszystko zmienia.

Determinacja

Emocjom kazałam odpocząć,
przynajmniej niech dzisiaj nie grzeszą,
została jedynie noc czarna
i myśli co idą gdzieś pieszo.

Zaś serce wyprałam z uczucia,
niech wisi na sznurze zwątpienia,
zrobiłam się cicha, potulna
i srebro na złoto zamieniam.

Lecz jeszcze na koniec coś powiem,
już nie wiem czy nam się zdarzyło...
Po latach wystawię rachunek,
za bliskość i zdradę i... miłość.

Sny

Co wieczór żegnam się ze światem
wypływam na bezbrzeżne morza
jestem odważna żadna wrażeń
ot taka młoda jeszcze koza

czasem odwiedzam obce miasta
zawieram nowe znajomości
wszystko się gmatwa kręci w kółko
trochę z przeszłości i z przyszłości

jakoś nie widzę nigdzie ciebie
zaczynam w ciemno znów od zera
rozglądam się w tym świecie baśni
skargi do pana reżysera

Mariola Kruszewska (Mińsk Mazowiecki)

suplement do Genesis

zanim Stwórca oddzielił światło od ciemności
kosmos trwał w szarym zawieszeniu
nim wody spłynęły na wyznaczone miejsca
tęchły w mulistych bezdrożach
Wieczna Mądrość rozstawiła graniczne słupy znaki
ostrzegawcze kierunkowskazy i bezpieczne szlabany

a potem Bóg tchnął życie

każde najlichsze nawet stworzenie znalazło
swój kąt i czas
tylko człowiek wciąż błądzi w mroku
szukając drogi

dlatego tak bardzo lubi wzniecać pożary

kilka pytań o Ewę

nikt nie pyta jak umarła Ewa
czy bolał ją krzyż na wielką starość
może chorowała na serce

zapewne została pierwszą wdową
a jej rozpacz nauczyła zwierzęta wyc w samotności

ale przedtem
rodzić uczyła się od morza wypływającego bursztyny
dziwiła się niemowlętom bo nigdy nie była dzieckiem
podśluchiwała jak uciszać ich płacz skrzydlatą kołysanką

trzymały się blisko zapachu mleka
póki nie wybiegły w przestrzeń poza jej węchem
i nie przekazały wilkom
obowiązującego do dziś prawa stada

wtedy pękł dzban z winem
rzecz niesłychana od zarania świata

czy dogoniło go jej pytanie i pokrwawiło uszy
czy krzyk przedziurawił skały a szeptane latami imiona zmieniły
strumienie w piasek

kobiety zwykły w czas kwitnienia cierni biec do swoich matek

tyle kolców
za jedno jabłko

skarga św. Franciszka

Chryste
coś Ty zrobił najlepszego

patrz
mam dziurawe ręce
a tu trzeba pracować Panie
nie święci garnki lepią
i manna dawno przestała spadać

jakże mam wznosić Twoje królestwo
kiedy kielni nie utrzymam
powróśla nie ukręcę
czystej szaty nie utkam

przecież mogłeś przedziurawić tylko bok
ukryłbym pod tuniką
przed zawistnymi niedowiarkami

kto teraz bez lęku poda mi dłoń
jakże błogosławić łamać chleb
głaskać psy

chcę objąć cały świat
a mam związane ręce
Jezusie Nazareński

triumf teorii

Mistrz umarł
na ropne zapalenie płuc
trzy fakultety praktyki w Stanford University
opasłe teczki długa półka katedra wysoka pod brodę
stos odznaczeń i gotowe konspekty wykładów na kilka lat
wszystko mało

taka nierozsądna śmierć jawna kpina z filozofii

Mistrz oczywiście gdyby żył wytoczyłby
stosy rozpraw niezaprzeczalnie niezaprzeczalnych
w kwestii przemocy wobec głębi myśli
o nieśmiertelności tego lub owego
śmierć w świetle jego argumentacji powinna
rumienić się ze wstydu
stojąc pod pręgierzem aksjomatów
mogłaby się przynajmniej ubrać w jakiś garnitur
nie podrygiwać a już na pewno
nie chichotać

śmierć umarła głosi zimna analiza Mistrza
wszyscy klaszczą nieco skonfundowani obecnością
wychudzonej damy
zapewne jakiś performer
bo przecież Mistrz mylić się nie mógł
po tylu latach pracy i trzech fakultetach

i że cię nie opuszczę

Nie łudźcie się (...) pijacy (...) nie odziedziczą królestwa Bożego!
św. Paweł 1 Kor 6,10

przyznaję się do bezradności
bądź wola Twoja który piłeś przed śmiercią
czyniąc kieliszek świętym przedmiotem

tysiące zginęło bawiąc się z nim w chowanego
umrzeć za kusztyczek
może jest w tym jakaś idea

przyznałem się więc teraz ratuj od ognia
w trzewiach
ratuj bo grzeszyłem przeciwko pierwszemu przykazaniu

zrozum Człowieku
pierwszy krok jak ołów
w lufie przy skroni
albo słowo rzucone na pożegnanie

kolejne zakręty kolejne zakrętki

niezła kolekcja kapsli można by wykuć
samolot taki pod Twój tron
albo lokomotywę i jeszcze starczyłoby na sznur
szyn

tak
mówiono mi o AA kojarzy mi się z gównem
w spodniach

może w Księdze Wyjścia jest coś o wychodzeniu
z wychodka coś o godności robaka
zalewanego cierpliwie gdy czerwone słońce chowa ze wstydu twarz

kończę ten list z należnym poważaniem
i wkładam do butelki jak czynią ci co pośród burzy nie widzą stałego
lądu

także moja

Cela martwiła się o zmoknięte lalki
bardziej niż o brata pracującego w polu
pamiętam to z dzieciństwa
gdy śpiewałam ci naiwne piosenki
a ty opowiadałaś legendy o głuchych rycerzach

pewnego razu dorosłam i wybrałam się żyć
gdzie nigdy nie pada śnieg
ale zmroziły mnie spojrzenia sąsiadów
więc wróciłam jak pies
tuż przed pierwszą gwiazdą

może to ten zapach mokrego igliwia
szorstkość styczniowych poranków
gdy uciekał przed nosa autobus
albo Cela martwiąca się o swoje lalki
może dlatego

mam prawo mieć prawo
do mówienia w mojej mowie
słów moich i zaniemówień
w tle słysząc drwiący śmiech
garniturów szytych na miarę

mam prawo mieć prawo
do ustawiania liter prawą dłonią
w prawowitych szeregach nieprawomyślnych
myśli w tle widząc skrzywienia
polakierowanych twarzy

trudno mi cię kochać
jeszcze trudniej mówić o tym w sercu
nowoczesnej Europy
dlatego skrywam się za wierszami
także moja Ojczyzno

Tomasz Kowalczyk (Lublin)

jak nastolatki

rząd cyfr zapisany szminką
spłynął po ramieniu zanim dotarłem
do trudno zmywalnego flamastra

próbowałem odtworzyć właściwy numer
ale ciągle zgłaszały się starsze siostry
z roszczeniami o pierwszeństwo

deszcz zatarł zdradę tak starannie
że zacząłem wierzyć w swoją wierność

gdybyś zgubiła choć pantofelek
znajomi z fejsbuka odnaleźliby właścicielkę
bez naszej wiedzy i zgody

nie pozostaje nic innego
jak pogodzić się z żoną

do następnego balu

podróż do Rebeki

nic nie było tak pierwsze jak déjà vécu
że kiedyś wciągałem w płuca powietrze
przesycone śniadaniem u Tiffany'ego

udawało się zaplanować ledwie następny oddech

jaśmin i pomarańcza przekładane z ręki do ręki
odchodziły niepostrzeżenie od zmysłów
zanim zdążyłem zanotować wzór chemiczny

nie powstrzymałaś ucieczki
przywrócone spojrzenie potrząsnęło flakonem
ale było już za późno

atomizer rytmicznie wypluwał pustkę
jak gdyby nigdy nic

wymówka

na pół godziny przed rozpoczęciem webinaru
światłem dziennym oddychają chowane na specjalne
okazje perfumy la collection parisienne i krem
rozświetlający do twarzy Artistry

żona krząta się w łazience a ja zaczynam rozumieć
dlaczego agenci ubezpieczeniowi telefonują
do potencjalnych klientów ubrani w garnitury

przed włączeniem komputera próba generalna snapshota
wypieki na twarzy których nie da się wywołać na próbę
można potraktować jako objaw przeziębienia
do głowy nie przychodzi mi inne wyjaśnienie

znudzony idę do sypialni i zasypiam nad jakąś książką

maski

czasami wyjmowałem z szuflady koronkowy stanik
w kolorze bordo pachniał nowością coraz bardziej
zakurzoną i przesiąkniętą celofanem nagle miseczki
straciły sztuczny zapach trzymałem w dłoniach mgłę
Yves Saint Laurenta oraz zsiadłego mleka nad nimi
unosila się plątanina feromonów i pierwotnego potu

obok popielaty szlafrok tak łatwy do włożenia kiedy
ostrzegawczo zaskrzypi podłoga

kiedy nocą zszedłem do kuchni po kawałek szynki
stanik i szlafrok leżały w niedbałych pozach na podłodze

w podsłuchanej rozmowie nie pada wyszukane słownictwo
niektóre zwroty pamięć wygrzebuje z czasów studenckich
to pojedyncze sukcesy które jednak nie pozwalają na
słuchanie ze zrozumieniem

Izabela dała Wokulskiemu więcej czasu na naukę języka
mnie już się nie opłaca wynajęcie korepetytora

pora odejść cisza zaczyna uderzać do głowy

Akporue

nigdy nie spotkałem takiego imienia moje podejrzenie
że to zwykła ściema potwierdziły wszystkie wyszukiwarki

przystojny mężczyzna w drucianych okularach
podaje się za weterana z Afganistanu wzbudza respekt
znajomością tajemnic wojskowych

z portfolio Akporue ujmuje zdjęcie dziesięcioletniego
chłopca który całuje go w policzek nie wiadomo kim
jest naprawdę na fanpejdzu robi za syna

IP prowadzi do Nowego Jorku krąży wokół Riverside
Drive blisko migoczą światła zakładu psychiatrycznego

żona nie zatrudni detektywa który zapobiegłby ewentualnemu
rozczarowaniu odpowiedzialność spada jak zwykle na mnie

oboje nie wiedzą do końca co mówią ale wiedzą od początku
co czynią coś mi podpowiada że już mogę rozpocząć wybaczenie

go away

dziś światło zgaszone wyjątkowo wczesnie świeżo
wyprana bielizna nie pamięta uniesień oddycham
z ulgą na darmo bym się uczył angielskiego znajomość
przebiegała zbyt szybko abym mógł zaskoczyć celną
ripostą dającą do zrozumienia że casus in flagranti
utrzymam w sekrecie

po żonie nie widać cierpienia wprost przeciwnie
wstaje rano wyspana z podwyższonym libido

zacieranie śladów idzie fatalnie fejsbuk zapamiętał
rozmowę którą można usunąć tylko z profilem
zastanawiam się czy Akporue robił zrzuty ekranu

być może wkrótce ujrzę w sieci znajome cycki
na tle mojej biblioteczki

Agnieszka Marek (Bielsko-Biała)

Prognozy

Przyzwyczajenie przynosi zdumiewające odkrycia: zamiast marzeń znajduję białe plamy, pustkę w kalendarzu. Daty, które kiedyś przyprawiały o miłe drżenie w podbrzuszu, nagle przestają rozgrzewać. Nikt nie przypuszczał, że ostygnę, a nawet zacznę krzepnąć. Ten chłód narasta i nie tłumaczy cię ani kilometry, ani nawet sławna w całym kraju czterdziestka na karku. Nic nie ratuje. Pierwsza wspólna wieczerza prawdopodobnie stanie się ostatnią. Pewne słowa wciąż stają w gardle: *odpowiedzialność* i *wierność* niosą w sobie to samo niebezpieczeństwo, co przereklamowany od wieków karp. Nie przelykasz, bo twoja tradycja to wieczne zmiany i nic stałego. Zaraz po świętach wyleję resztki, nie łzy.

Możliwości

Mam nadzieję, że umrę ładnie i nie będziesz przy tym. Nie ma nic przyjemnego w patrzeniu, jak oczy zasnuwa mgła, oddechy stają się coraz rzadsze. Sprawdziłam, więc po co ci to? Obejmij mnie myślami, wspomnieniem, które włożysz pomiędzy książki, zaczarujesz w zakładkę. I będzie, nawet jeśli mnie się nie uda. Przecież zaledwie wczoraj oglądałam nekrologi kobiet w moim wieku. Nie mów, że niemożliwe. Najbardziej będzie mi żal domu, którego nigdy nie zobaczę i licznych śniadań, co miały być: nasze, niespieszne, przyprawione śmiechem. I tego psa w kolorach pszenicy, który sam wracałby do nas po spacerze. Więc jeśli tego ma nie być, jeszcze dziś sprzedam zazdrość, wytrzępię resztki wątpliwości z głupich snów. Poczuję czas.

Przez palce

W tych mknących szybko czasach nie ma wcale czasu
na listy zbyt miłosne, kruche, prawie lepkie
od słodkich snów, co nigdy nie zobaczą światła,
spojrzeń, które musimy chować przed innymi.

W tych czasach smutnozimnych mam zbyt dużo ciepła
i chęci staroświeckiej, by dawać za darmo
czułość – wpisaną w krwiobieg i cicho tańczącą -
jak banalne motyle na twój nagły widok.

W tych czasach tak cyfrowych czepiam się ekranów
i ciągle mam nadzieję, że jeszcze nie znikasz
gdzieś pomiędzy łózkami nieznanych mi kobiet,
co biorą cię, jak zechcą – wystarczy, że powiesz.

W czasach, gdy nas spotyka to, czego nie umiem
nazwać ani uchwycić, bo wciąż się wyrywa,
chcę wiedzieć tylko jedno – że zawsze będziemy –
jak stary, dobry „enter” na każdej z klawiatur.

Misteria

Miałam się nigdy nie przyznać do twoich rąk spracowanych na moich biodrach, które rozpracowaliśmy razem – zupełnie zaskoczeni, że tak można: że ktoś z daleka jest tak bliski i pasuje. Pamiętam, miałeś zbyt gwałtowne usta i palce, i nie mogłam ich powstrzymać – ani ja, ani lekko przyciasne dżinsy – opięte w miejscach interesujących cię od dawna. Pękały szwy, tamy, hamowane tygodniami słowa, kruszyły się murki wznoszone z kamieni, odmów, przyzwyczajęń. Mówiłeś mi, że tylko to ma sens: kiedy przylegasz do mnie i nagle przynależymy – choć, chodź przez moment, przez skórę, nerwy i to drżenie, jakoś dziwnie kojarzące się z tsunami. Potem byłam kroplą potu na twoim języku, ty niezmiennie na moich udach, pomiędzy piersiami albo gdzie popadnie, ale byłeś. Niezdziczały, a może jedynie bliski oswojenia. Niech tak będzie. Wystarczy. Przecież nie jesz z ręki.

Zaułki

Namawiasz mnie do powrotu w tamte miejsca, gdzie wszystko nabrało rumieńców (choć czy ktokolwiek słyszał o palących policzkach trzydziestolatki?). Miasto, którego nie znaleźliśmy, wieczór zbyt mglisty i wilgotny, by uznać go za prawdziwy.

Mieszkanie - nasze na chwilę (bo czas okazał łaskę i zwolnił na trzy dni). Ktoś przed nami palił tam świecę z limitowanej edycji „Czerwony wyrzut sumienia”. Nie czuliśmy zapachu nawet przez moment. Również wtedy, gdy usłyszałeś: *Wyobraź sobie, że jestem jak cukierek* – i byłeś coraz bliżej, ze słodkim drżeniem w ustach. Mówię ci, żeby tam wrócić – teraz, po latach, gdy nadal wyczuwamy smaki. Może zwyczajnie po to, by wreszcie kochać się przy podniesionych roletach.

Przecinać ciszę.

Bez reszty

(...) tylko miłość z nas zostanie.
/P. Larkin, Grobowiec w Arundel/

Co ci zostanie po niej, kiedy się rozplynie
gdzieś w sieci kilometrów, których nie poznałeś,
w ciepłe słodkich poranków – dziwnie nieprawdziwych,
bo niedotkniętych tobą, nieposmakowanych.
Może załśni ci czasem zawsze smutne oczy –
te tysiące pikseli tuż przed twoją twarzą
i zobaczysz odbicia pochowanych myśli,
cienie pragnień i skrawki dość banalnych marzeń.
Czas się skurczy do chwili, kiedy się zdarzyło
raz i nigdy już więcej, lecz tak, że pamiętasz.
Jeszcze na moment wrócą roziskrzony palce,
usta, co nie zapomną mocno szorstkich dotknięć.
A później wszystkie noce będą coraz bledsze,
ostygną monitory i czarne ekrany.
I pozostanie tylko zamknąć szczelnie okna -
może nie zgasną resztki zbyt kruche, by przetrwać.

Emilia Mazurek (Warszawa)

Postludium

Pożegnania nie są w moim stylu. Zresztą
słowa zawsze zostają. Nieprzypadkowo
zapomniane. W tylnych kieszeniach.

Żrenice, cierpliwe śluzy, przepuszczają
do wieczornych godzin
tylko tyle wody, ile trzeba,
by zachować równowagę.

Online – offline. Kiełkowanie – gnicie pod ziemią.
Łódki z zadrukowanych kartek, rzucone na żywioł,
nasiąkają ciemnością w przemysłowym kanale.
Od niego, wiele lat temu,
rozeszły się podziemnymi ciekami
kolejne wersje zdarzeń. Podobne do siebie kropla w kroplę.

Próżno kasuję, skreślam, zasypuję mokrym piaskiem;
tekst jest grząski, niestabilny. Wciąż ktoś przychodzi
w nim grzebać, zamienia miejscami
imiona, nazwy miast, kropki i pytajniki. Przesadza
samosiejki.

Przepłynąłeś, przechodniu.

Przez wszystkie
miejsca ukryte.
I co z tego?

Czas uderza po oczach.

Fisherman

Ugrzęzłaś na haczyku,
skuszona podnieceniem wody i zapachem
przynęty.

I co teraz będzie, rybko?
Ani z powrotem do stawu, ani do wiaderka; ludożercą
też nie jestem. Chciałem tylko popatrzeć, jak w słońcu twoje łuski
mieniają się tęczowo. Lubię pismo obrazkowe, przecież wiesz.

Cieszyłem się, że nie posiadasz głosu i nie zapragniesz lubieżnym
falowaniem odbić się od dna. Po co więc dałaś się
złapać? Większy staw jest tylko kolejną anty-iluzją, nikt
nie wie o jego istnieniu, tak głęboko, jak sięga język.
Zresztą nie planowałem o nim opowiedzieć
żadnej z was. Choćby była samicą królewskiego karpia.
A ty - co? Uklejka, płotka, wzdręga?

Trzymam cię teraz, rybeńko, w nieporadnych rękach
i czuję śliski chłód, wibracje płetw. Wiatr odrywa barwy
od łusek, ciska prosto w twarz.

Przestań wreszcie wybałuszać na mnie
mętniejące oczy; są nie do zniesienia, wypełnione
kleistym snem. Słyszysz? Zrób coś z nimi,
zgaś, zapomnij,
wybij sobie z głowy.

I wciąż nie mam pojęcia, co z tobą począć,
przeklęta, głupia rybo,
która dogorywasz, zanim wyłowilem
wszystkie pozostałe
słowa.

Dust

słowa z dwóch różnych jam
już nigdy się nie mieszają

moje porywa w górę
wąskim gardłem
pyłowy diabełek

twoje snują się przy ziemi
całą szerokością
pustyni

z oazy pozostało tylko
grzechotanie wężowego ogona
na studziennym dnie

jej obraz
do samej granicy rozproszeń
uniosły w nocny chłód
niezliczone ziarna piasku

Flow

*Nie płacz i pojmij prawo, które mija,
i przyjmij sen (...)*
/K.K. Baczyński

Z przygasającą karbidówką w dłoni, błąkam się
po porcie. Wysyłam słowa na zwiady. One pierwsze
rozpoznają to właśnie nabrzeże i ciągną w dół.

Przez moją przezroczystość
przepływa słona czerń, nieprzemijającymi
falami. Odszukuje ujście
poza zasięgiem słowoczułej skali.

Wpatruję się w wodę. Wpatruję tak głęboko,
że nawet nie zauważam, kiedy morze
i niebo zamieniają się miejscami.

Słowa są bezsilne wobec przebiegunowań

Z ciemności – ocean. Z niej także
horyzont i bezkształt nad polarnymi kręgami
i to właśnie o nią zahaczają zabląkane klucze
bezzadnych ptaków. W wodzie nic się
nie zmienia, nie otwiera, nie świeci.
Twoje oczy – dwie ciemnie, bez prawa powrotu
do zawsze, do nigdy, do teraz, do kiedyś.

Dłonie się oszukują, zamiast poszukiwać,
żeby jeszcze na powierzchni nie zgubić
oddechu, przedrzeć się na zewnątrz
przez brak widoczności. Martwe ryby,
dzikie gęsi, rozrzucone po niebie,
przechodzą w niespokojny dryf.

Na harpunach – baśnie.
Na łowiskach - rtęć.

Słowo dawno cofnięte, kurczy się w jeden przebłysk,
a za nim świat tak maleńki,
że wystarczy nakryć kropką. Już znikł.
Jin i jang oddają osobne ciała
w ręce jednej zimowej nocy, by mieszała,
mieszała przewrotnie
w śnieżnym kotle.

Z takich zbliżeń – tylko Gehinnôm
wyłania się, wyznacza
dla zmysłów i cieni.

Zawietrzna strona pamięci

Nie wiem, dlaczego zawsze widzę cię
w deszczu, przed deszczem, albo tuż po.
Kilkulatka tropiącego burzę w mokrej
trawie. *Dokąd poszłaś, mamo?*

Nieustanny brak słońca doskwiera
na dnie pytań. Żeby coś zmienić,
potrzebne nowe kalosze, tym razem
dla dorosłych. Między zielonymi kępami wiechliny
znikają bosa stopy.

Do miejsc, gdzie niewprawne oko dostrzega
tylko bezkształtną grę kontrastów,
sprowadzasz ptaki z czterech stron świata.
Słowa już nikogo nie zadziwią, nie urzekną
w poruszonej chłodnym powiewem kałuży.

Lila Helena Metryka (Sosnowiec)

Późna dziewczyna

Idzie aleją późna dziewczyna,
opadłe liście głaszczą jej stopy,
rudym kasztanem park ją przywitał,
słońce się wplotło w siwy warkoczyk.

Późna dziewczyna jest niczym jesień –
powab świeżości z wolna opada,
jak złote liście, które wiatr niesie
i na nic zda się biec po ich śladach.

Późna dziewczyno, skąd smutna mina?
Nie żałuj tego, co kiedyś było.
Jedno się kończy, drugie zaczyna,
piękną być może i późna miłość.

Znajdzie się jakiś późny młodzieniec,
który doceni dojrzały urok.
Świat wokół ciebie znów pojaśnieje.
Panno jesienna - dojrzałość górą!

Bogdan Piątek (Gliwice)

@spoeczny

Pilnuję się,
by nie wyjść na ludzi,
to nie przypadek,
że liczba mnoga jest inna,
zatraca człowieczeństwo.

Wyspa niech pozostanie samotnią,
żadnego Piętaszka,
Mrs Robinson też niech spada,
wolę *sound of silence*.

I jeszcze tylko
ustrzec się przed tymi,
którzy *lubią to*.

piątek zły początkowo

artysta robi w pop-arcie,
przy nim niezła sztuka,
to zawsze podnosi
sprzedaż.
promowani idą po przecenie.
jaki jest mój target?

dewaluacja terminów:
techno, demo, arysto...
przedrostek mnie przerasta,
końcówka wykańcza.
(ale jeśli okażę się prawdziwym
to może poznają się na mnie).

bohema z kodem kreskowym
(kurtka na vacie)
kamera! i akcja, i trans,
świat jaki jest każdy widzi,
i każdy tworzy swój.
świat to podgląd,
chip w cipie.

przepraszam, gdzie?
tam, gdzie nie uchodzi
nie dochodzić,
od a do seksualności,
omijam poprawki polityczne,
tudzież presję kulturową języka.
jakiego języka?
oral jest be.

temida ściemnia
w świetle prawa.
na szczęście mam
do tego wszystkiego

odpowiedni stosunek.

macieju w koło

teoretycznie świadomość *endu*,
sprawia, że jestem
względnie *happy*.

coś dzwoni.
trudno
zidentyfikować źródło,

jednak nadmierny
rozrost komórek
nie wróży niczego...

dobro i zło?
na drzewo.

kiedyś i tak
to wszystko
znów wybuchnie,

więc o co
całe *to*
wielkie halo?

czasem mam czas

właściwie mam zawsze.
mniemam, że czas też mnie ma

właśnie przeszedł przyszedł,
(teraz jeszcze nie raz).

nawet gdy leżę,
trudno uniknąć czasowników

to życie mija nie ja?
nie tak
przecież
ja jestem życiem
bez życia nie ma *mnie*

przyjdzie *czas*
zwrócić opakowanie

no to
ciao ciało.

erotyk cybernetyczny

czy to jest postęp?
technika wkrada się wszędzie,
również do alkowy

pewno wkrótce będziesz nosić
bieliznę
zabezpieczoną
kodem kreskowym,

by uzyskać dostęp
będę musiał użyć
prezerwatywy
ze skanerem

opadnie
całe napięcie
gdy wyświetli się napis

*połączenie nie może
być zrealizowane
wymagany większy
wkład własny*

kręci nas wrzecziono

wszystko to
wielki przekręt

pociecha
każdy musi się kiedyś
przekręcić
więc niech
rzekomo rządzący
kręcą do woli
ryba psuje się
gdy głowa jest do dupy

państwo wybaczą
i przekręcą klucz
oraz się

ta lub tamta
strona
który sen jest prawdziwy

nie ma nieba
nie ma piekła

Beatrycze to mit

Marta Raczyńska (Kraków)

Palimpsest

Sny są miarą odległości. Opowiadam ci o miejscach,
które o świetle bledną i stają się płaskie jak fotografia
(zresztą, wszystko tutaj jest jakby mniej realne:
szpaler brzoź za garażem i kanka z mlekiem na progu,
plac targowy, cmentarz). Więc może tak naprawdę
nikt nie umarł, może tamta noc nigdy nie nastąpiła,
jedynie oczy zamknięto

albo to okiennice – zakleszczone w mojej pamięci –
mącą głębię ostrości i barw.

Sny są miarą przywiązania. Zapłótszy historie, choroby
i przekleństwa, jesteśmy jak dwa drzewa rosnące zbyt blisko.
Wkrótce rozsadzimy ściany naszych dawnych domostw,
by z pacierzy i lamentów posklejać nowe,
ciut chybotliwe – ciepłe jak pocałunek.

Prahistoria

Schodzę coraz głębiej. Warstwy popiołów i gliny
powlekają brzusec naczyń; palec boży na wysokości
ucha (perkoziej główki). Pępek. Pępowina. Następna
poszlaka w poszukiwaniu wykładni czasu: kto wspomni

Boscha, rozjंत्री diabła w dzbanku? Powiedz albo
powiedz mi na pokuszenie; rozetnę wszystkie chore
miejsca, z których jak resztkę krwi wysączy się symbol.
Zastygną szybko – pełne ropni bądź zakrzepów,

zanim odnajdę dno: pierwsze wyciosane ostrze.

W cyklu

O brzasku ulegamy atrofii. Zrazu ubywa połączeń
między dźwiękiem a obrazem; ubywa też snów,
dryftem pokonujących polskie niże, wody rzeczne,

podziemne, płodowe. Ponownie uczymy się istnieć;
bez punktów odniesienia, głośniejszy wkraczamy w czas postny,
a ciszej w świąteczny, tłumiąc przy tym echa rozmów

rozsypanych jak śnieg po płaskowyżu ciała
(w strachu, że niebo spadnie nam na głowy, a półmrok
przeistoczy się w smętną, bezbarwną materię miasta).

Miasto zaś krzewi się wzwyż: przy cmentarzach topole
kielkują z białego puchu i niepamięci, a domostwa zalegają zbyt płytko.
Tam, głęboko pod ziemią, istnieje cała plątanina przejść

prowadzących do kamiennych nadproży i piersi matek,
wilgoci dREW i ognia gromnicznego. Wzniesam go i dławie
co noc, która zawsze jest rzeńska, majowa, skończona.

Odbicia

Ubywa nas, Alutko, więc zamknij drzwi.
Tyle marców schodziłyśmy w tym domu na pamięć,
aż kołyski powyrastały w progach. Zaokrągliły się
brzegi, kąciki i skraje – już nigdy nie krzykniesz,

uderzając łokciem o stół. Wyszniemy lada dzień,
niech tylko skóra przylgnie do kości, a języki do podniebień.
Podniebnych pościeli. Jak ścieli się ciało pośród rosy –
opowiesz mi, jak zmysły traci spięte klamerką;

czy tak właśnie spięte jesteśmy, przyklejone
do okien w noc, gdy cała okolica gaśnie niby świeczka?
A gdy za obraz wtykasz wierzbinę? Gdy biją pioruny,
stapiają łańcuch, leczą? Ubywa nas, Alutko,

lecz chyba już nic nie możemy zrobić. Ze wstydu i żalu
zapadamy się w ziemię, dachówka po dachówce.
Niedoczekane jak pokolenia, których nie stworzysz,
a które ja rozsieję we mchu i okruchach cementu,

by uwierzyły własnym oczom. Koniuszkiem palca
dotknę chorego miejsca na mapie, oznaczę rozstajne
drogi, mosty. Kuchenne światła tłące się w kałuży.

Równonoc

Kiedy wróciłam, a było to raptem u schyłku zimy,
myślaś już okna, obrazy, talerz z widokiem na Tiergarten
i zegar po ciotce (w soboty zawsze budził mnie zapach
szarego mydła, ruch w sieni i skrzypienie drzwi).

Tamtego dnia, na klepisku pełnym pierza i negatywów
kurzych łap, stanął kredens – stary, ciut pokraczny, przyciężki.
Nadchodziło ocieplenie i płowieć zaczęły fotografie,
listy pisane kredką, duchy i koty prężące się do słońca

nieco jeszcze ospale, łagodnie i z rozrzewnieniem;
w ogrodzie zaś kopczyki liści wyznaczały te miejsca,
nad którymi wiosna pochyli się jak matka nad dzieckiem
by dotknąć rozpalonego w chorobie czoła.

Nazajutrz spomiędzy ptasich kostek, żeber pieskich
i sarnich (ta sarenka chodziła przy nodze niby pies)
wykiełkowały cicho pamięci: pęknięty kafel, karafka,
dwa fenigi, guzik. Nie było odwrotu, deszcz padał

przez tydzień, bez przerwy, na kolana, ręce i powieki,
kiedy po raz pierwszy stawałam przed kimś zupełnie naga.
Czas zatoczył koło; przystroiłaś więc ganek i pokoje,
skąd na kolejne ćwierć wieku, jeden po drugim

wymknęli się stróże – postaci z zaśnieżonych luster.

Droga do Caeculo

Cecylia o świcie przekracza rzekę; rychło utraci wzrok
dołączywszy do grona ślepców, chromych i żebraków.
Przerosła ją historia, przeto czyni wróżby oraz znaki:
odcisk bosych stóp, pęknięcie struny, echo.

Cecylia cierpi, bośmy ją ku temu przysposobili.
Na tyle jest prawdziwa, na ile można z niej spijać zdrowie
bądź dobry los; swoje cienie porzuca na miedzach,
nadprożach izb i trzeszczących kręgosłupach staruszek.

Cecylia została świętą, bo uczy nas patrzeć;
wydobywać na jaw całą nieprawdę tego świata,
jak gdyby ta nieprawda była bijącym źródłem,
a dochowanym dziewictwem – zmysły.

Pochylamy się nisko; z tej perspektywy ulica
jest dla nas beznogą, sunącą w spiekocie jaszczurką.

Andrzej Sękowski (Kraków)

Machu Picchu

starąłem się przetłumaczyć piaski Sahary
na samotność
przemierzając dziewicze szczyty
w Andach
usiłowałem dokonać przekładu
poezji zamieszkującej opuszczone miasto

w każdym zapisie było oddalenie

pułapka zastawiona przez fatamorganę
na wysokości
w której słowa są rzadsze od powietrza

ósmego dnia w raju

ze wszystkich moich żeber stworzono kobiety
i wtedy zapadłem się

w sobie
nikt nie nazywa po imieniu rzeczywistości
którym cienie zeskrobują światło
z drogi

okres połowicznego rozpadu

pewnie nigdy nie nastałby dzień
gdybym nie umiał poruszyć ziemi

a i tak wszystko gnije więdnąc usycha

ciągle wpięprzam czerwone buraki
bo mój bóg nie potrafi stworzyć niczego innego

sam musiałem zbudować coś co przetrwa
jest we mnie pokój

zmarłego dziecka

uporczywość pamięci

potrafię wierzyć
w wielki wybuch
nie zaangażowałem się osobiście
jako terrorysta walczący
z czasem
popadłem w manię prześladowczą

przez teorię względności
i *ściekające zegary*
boję się spojrzeć
w lustro odmierzające lata
światłne

zmarszczkami

Ariadna

zapisalem cię na ścianie labiryntu
w czasach gdy budowano pałac
w Knossos. ciągle padał deszcz
kiedy dzwoniłaś. otworzyłem drzwi

tak samo jak wtedy
pomyliłaś piętra

* * *

do pomieszczenia w którym potężny
komputer pomagał mi w pracy
nad odczytaniem pisma linearnego
prowadził korytarz pokryty hieroglifami

zatrzymałaś się przed gliptykiem
na którym uwieczniono twoje imię
zanim uszłaś przed gniewem królowej
prowadziłem cię przez długi korytarz
prosto do wyjścia z labiryntu
w Knossos. ciągle padał deszcz
w czasach gdy budowano pałac
pisałem dla ciebie wiersz
kiedy dzwoniłaś.

otworzyłem drzwi

Caravaggio

z pędzla ścieka błyszcząca strużka
szeleszcząc układa cienie

siność zakrada się z boku
światło ułomne
jadem wsącza wątki w osnowę

mistrz
strząsnął z ust modlitwę

z płótna wyklął czas

będzie żył wiecznie i wiecznie umierał
chłopiec ukąszony przez jaszczurkę

G. Stadnik (Tarnobrzeg)

Uczta

gdy człowiek w trudzie
łatał niedosyt
na ściernisku w objęciach lemiesza
konały sterczące kikuty

garście zakłęć
kielkowały rozdeszczoną porą
a Eol rwał ukradkiem
malachitowe źdźbła

czas rozkłosił
pękate ziarna
dojrzewał orkiszowy łan
a w ludzkich zmysłach
igrały pachnące okruchy

celebrując sytość

W papirusach

dumnie
przeszła śladem historii
ocierając stopy o piedestał

wczoraj
wiersze rozsypały łzy
jak korale

w szelestach pożółkłych kartek
utkwilo sedno

Małgorzata Szczepańska-Tomal (Tarnowskie Góry)

za(wahanie)

Uciekam od decyzji, to nie jest przypadek,
gdy podskórnym wyczuwasz spadek grawitacji
przymykam szybko oczy, dłoń na usta kładę
by nie padały słowa w fałszywej tonacji.

Nie chcę wiedzieć, gdy mogę złudzeniom dać wiarę
w jakieś jutro odległe, choć dziś tak dalekie
jak horyzont. Ukryta za kolejnym żalem
liczę czas, który łzawo przez palce przecieka.

Na twoją niecierpliwość odpowiadam ciszą,
która warczy, bo krzyku wydobyć nie może.
Czasami odpowiedzi lepiej nie usłyszeć
kiedy pada. Znowu palec na ustach położę,

żeby oddech nie zdradził stanu zawahania.
Słuchaj serca czy mocno i miarowo bije.
Wypijmy za nadzieję, za sny, za doznania
i za miłość. Tak, za nią aż do dna wypiję.

na psa urok

W cień się zamieniam
by twoim śladem
iść bezszelestnie

gdy nie chcesz cienia
milczę jak kamień
bez zbędnych westchnień.

Jesteś bez mała
ślepy i głuchy
na feromony

urok nie działa
mocą szeptuchy
na wiatr rzucony.

Jak wierne psisko
czekam na jeden
gest przyzwolenia

porzucę wszystko
by stworzyć Eden
gdy zechcesz cienia.

Piotr Szelewicz (Susiec)

Po szkodzie

Może powrócę do własnych granic, wolny
od złudzeń, z pełną zgodą na cztery ściany
i niechęć za oknem. Tak jakby nigdy nie było
innych słów oprócz tych najprostszych, jednoznacznych

że stół znaczy stół
a wódka znaczy wódka,

do których być może znowu przysiądzie się poezja.
Wtedy powiem: *teraz ty płacisz.*

Słowa, gesty i to, co między wierszami

Ściana. Jej chropowatość, faktura pod palcami
oswaja z chłodem, brak zrozumienia albo rutyna
murarza, ukryć się w czterech, nie wpuszczając nikogo,
jeżeli gwiazda, to tylko z sufitu.

Zgoda. Na twarde krzesło i wdzięczność stołu, natura
wyjątkowo martwa w pajęczej sieci, jak myśl, która infekuje
dwadzieścia godzin minus cztery dla snu, na zewnątrz
nic nie ma, oprócz mrówczych tropów.

Pewność. Że krąg światła od lampy, rytm deszczu
o szybę, słowa których już nikt nie wypowie,
podobne muchom w kloszu, cmentarzyk dla pierwotnych
zwątpień, ostatnia prośba o lekką ziemię.

Poczekalnia

W uszach zaczynają się gnieździć robaki,
więc możesz mnie zabić
deskami. Najlepiej na głucho. Tłuczone szkło
za tych, co nie mogą, później trzeba było
dorosnąć do roli obywatela

w stadzie, które i tak wcześniej czy później
odrzuć. Proces socjalizacji można uznać
za nieudany. Nikt nie ponosi
winy, ważna jest jedynie liczba
krzyży.

Peryferie

Przychodzisz nie w porę, jakby na złość
gasnącemu światłu, jedynym wyjściem wtedy
milczenie, mimo że słowa jak muchy
w upalny dzień. Jesień ma w sobie coś

ze starej panny, która wciąż wierzy
i czeka, nim stanie się zimową wdową.
Usychać trzeba kolorowo.

Peryferie II

-Obiecaj mi, że nie będzie wojny.

-Tak.

Puste słowa przychodzą nader łatwo,
nam nie grożą granaty, mimo że za miedzą
ktoś ginie, prorocy straszą Wschodem.

Gdy strzały zbliżą się do granicy
słuchu, odlecimy gdzie zboża szumią
o wydajności lub klęsce urodzaju.

Wojna jest w nas i pokój
niegościnnie.

Peryferie IV - pejzaż zimowy

Po dwudziestej trzeciej ulice pustoszeją,
wtedy zaczyna się świat. Schizofrenik z Leśnej
rozpoczyna obywatelski patrol, w asyście bezdomnych
psów sprawdzi wszystkie kąty
i wirażę. Spóźniony

pijak zgubił drogę do Betlejem,
odkąd zlikwidowano rozkład jazdy
brakuje punktu odniesienia. Dzięki Bogu
poetów tutaj nie ma. Najtrudniejsze
są zmartwychwstania.

Jarosław Trzeźniewski-Kwiecień (Mława)

Jutrznia

w erze wodnika stycznia z mroźnym oddechem
szadź na bramie szyby poddane krioterapii
kolejowe podkłady nikną na poboczach dróg
spycharki solą asfalt spękane arterie
rdest w piwnicy zielone pędy kartofli
wynosimy na śmietnik kruki w okolicy
śnież o kraju którego już nie ma
świt cały w śniegu i rozdarte sosny
w jasności promienistej uciekają teraz

Pozdrowienia od Goebbelsa

Romka Ligocka (lat 8) pisze list
wodę można umyć
schowa

piasek
czerwony płaszczyk
zostawić w szatni
dla umarłych kawałek szeolu

Romek Polański (lat 8) pisze list
nóż w wodzie nigdy nie zmywa śladów
ani odprysk z emalii w fabryce gdzie w półokręgu
blaszanych talerzy

milczymy
milczymy
milczymy

a potem w gabinecie fryzjera
w komórce na węgiel
za zakurzoną półką z przetworami na zimę
w fotoplastykonie

stoimy
siedzimy
stoimy
siedzimy

Dyptyk zimowy

trzeba pozwolić

trzeba pozwolić odejść umarłym
w styczniowy chłodny dzień

czerwone róże stygną na mrozie
ziemia jest głucha śnieg

zna tylko alfabet migowy
dotyka policzka nie widzi twarzy

nie słyszy szeptów wśród kamieni
zapisanych i niezapisanych imion

trzeba pozwolić umarłym odejść
w lutowy ciemny dzień

niebo się wtedy zniża
chmury pędzą czarne

nie trzeba nic
umarłym

nie trzeba nic
umarłym

nie trzeba nic

II

iść drogą szeptów wśród kamieni
zapisanych i niezapisanych imion

niebo się wtedy zniża
a chmury takie czarne

trzeba pozwolić odejść umarłym
w zimowy chłodny dzień

ziemia jest głucha śnieg
zna tylko alfabet migowy

dotyka policzka nie widzi twarzy
trzeba pozwolić umarłym odejść

trajektoria (rapsodia filadelfijska)

rabaty kwiatów w Atlantic City albo w Camden
sztuczne szczęki rekinów Barbra Streisand
Company kusi żołnierza co zaciera ślady walki
na Filipinach tajfun posrebrzany medal w szafce

z mocno spłowiałą wstęgą wyciągnięty ze sterty
baretek razem z pożółkłym wycinkiem z gazety
Philadelphia Inquirer o chorobie legionistów
w szufladzie przycięty krawat i strzępki dyplomu

Victora jr wuj Frank zaraz wyjedzie na wyścigi konne
ciotka znowu się niecierpliwi kiedy ruszy zielony
chevrolet wystawi przed front worki dla Armii Zbawienia
by nie widzieli sąsiedzi ani rabin z pobliskiej synagogi

reformowanej (pożądanie i posiadanie to nie to samo)
potem skoczy na moście nad rzeką Delaware albo East River
ściskając mocno muszelkę z dna Atlantyku
fala się cofnie znowu z piany nie wyjdzie reklama Afrodyty

Edmund Warszawski (Warszawa)

myśli prawie złote

Jest jeden niezbędny warunek żeby dostać drugą szansę. Trzeba zmarnować pierwszą

Szczęśliwsi ci, których połączyła jakaś nieokreślona chemia od tych, których połączyła precyzyjna matematyka

Uważaj na cyrograf, bo dziś i tam możesz znaleźć gwiazdkę i drobny druk.

Słyszałem, że większość krasnoludków nie wierzy w istnienie ufoludków

Następuje taki moment, że rodzice myślą, iż dzieci jeszcze tego nie robią; a dzieci myślą, że rodzice już tego nie robią.

Reakcję łańcuchową przerywa najslabsze ogniwo.

Natchnienie jest jak rozwolnienie. Nigdy nie wiesz kiedy cię dopadnie i przeważnie wtedy nie masz przy sobie papieru.

Milczenie jest złotem. Gdy to słyszę to brak mi słów.

Szkoda, że rzucaniu palenia najczęściej towarzyszy słomiany zapach

Prawdziwy mężczyzna jest elastyczny. Łatwo go owinąć wokół palca.

Kobieta za młodu, delikatna jest jak cielęcinka. Niestety, później staje się niczym odgrzewany kotlet.

Nie mówią o niej oficjalnie, ale są przecieki

Nawet przy produkcji mrożonek można pracować w pocie czoła

Każdy Filemon będzie kiedyś Bonifacym.

Każdy ma inny gust. Czyż więc raj może oferować wszystkim takie same atrakcje?

Każda rodzina gromadzi się wokół ogniska domowego i nie ma znaczenia, ile cali przekątnej ma to plazmowe ognisko.

Czym różni się sadzonka od dziecka? Tym, że wiemy, co z sadzonki wyrośnie

Malkontentowi odpowiada tylko echo

Kobieta jest jak prezent, tylko nie każdy potrafi go rozpakować

Jeżeli jest człowiek, który marzy o piekle, to pobyt w niebie będzie dla niego... piekłem?

Niewolnik jest człowiekiem wolnym od podejmowania samodzielnych decyzji. Ergo, niewolnik to człowiek wolny.

Jadłem jajecznicę z jaj perliczych, smakowały wybornie, dopóki nie powiedziano mi, że to jaja samca

Mężczyźni są jednomyślni. Myślą tylko o jednym

Biznesmen - człowiek interesu, który nie dostrzega interesu człowieka.

Jaki kot jest najdroższy? Ten kupiony w worku.

Cieszę się, że ze wszystkich ssaków człowiek jest na samym końcu łańcucha pokarmowego

Kobiety chętnie noszą szpilki i równie chętnie wtykają je swoim koleżankom.

Kiedyś posiadało się herb, dziś... logo

Chcesz coś ulepszyć? Wielu tym zgorszysz.

Gdy się ożenisz tak czy inaczej czynisz z mieszkania muzeum. Najpierw masz w nim muzę, potem eksponat

Kto chce słuchać śpiewu ptaków, musi pogodzić się z ptasimi odchodami.

– To był dobry człowiek. Szkoda tylko, że już się skończył – pomyślał lew, odchodząc ze smutkiem.

Mówili o nim, że to dobry człowiek, bo nie jest pamiętliwy. A on tylko cierpiał na amnezję.

Papuga to taki orzeł w pizamie.

W polityce zatwardzeniu myśli, towarzyszy rozwolnienie słów.

Łatwiej aforyzm rozciągnąć do konsystencji wiersza, niż wiersz skoncentrować do postaci aforyzmu.

Marne szanse żeby koń się odkuł.

– Nie chciałbym być na twoim miejscu – rzekł bardzo stary miliarder do małoletniego boya hotelowego. Skłamał.

Irena Maria Zborowska (Gostyń)

Niskobudzetowce

życie zapisuję ubogimi dekoracjami ale
mięsiwym tokiem zdarzeń

zdążyłam być *Anną Kareniną*
której tuż przed finałem rozebrano torowisko
lokomotywa sapnęła w ostatnim orgazmie
a dworzec oddano za friko gminie

nawet pożegnalny pocałunek grałam
w scenerii zarośniętego po pas peronu
którego już nikt nie wydeptuje miłością

z *Isadorą* nie było lepiej
zmieniła się moda nikt nie nosi
powiewnych szat które zechciałyby
wkręcić się w drewniane szprychy
auta zasłaniają twarze kół kołpakami
a szyje otulają golfy bez skrzyni biegów

więc żyję
nie włożę przecież głowy pod trzaskające drzwiczki
i jak tu żyć w mało romantycznym świecie
panie producencie kolejnych

jak żyć

Wyprawa do źródła

na kilka godzin dziennie przydzielono mi anioła
stróża który poda dłoń w geście powitania czy
popchnie wózek kiedy krawężnik
za wysoki stopień obniży
choć nie podkłada się pod rzeczy
skomplikowane zostawia mnie

opieram się nadgorliwości jego i ścian
które nie rozstępują się cellulitem
pod naporem wiotkiego ciała

podłoga boli uderzając w plecy na drodze
ku łazienkowemu wodotryskowi
co rano ten sam dylemat w wyborze
zławić trochę wilgoci w kuchennym kranie
czy skutecznie pieszą ekspedycję do łazienki
na zwaciałych nogach

on wie że nie ma sposobu by złamać mój upór
udaje wówczas że drzemie
a ja że jestem samodzielny

wracam do źródeł
obmyję nogi w rzece
czasu

A za tą bramą trawa soczysta

rzęsy przyprószył pył z kominów
świętych łez zabrakło
w pasiaku objawiła się Matka Żyda

bramą kroczyli kolejni
nikt nie zapytał
zdrowaś

milczeli

Saute

im bardziej ona była głodna
stawałam się szczęśliwsza

jeszcze tylko jedna fałdka w talii
jeszcze tylko bardziej zarysowane kości policzkowe
skóra trzeszczy na kościach obranych z mięśni
oczy stają się większe i wyraziste

śmierć trzeba nakarmić
smakuję jej

nie mam siły podnieść powiek
słyszę jak przełyka ślinę
nim przełknie mnie

ostatecznie

Dał i zabrał skrzydła

spieszę się
życie pogania
zapędma jak owczarek zagubioną owcę

mówią jesień
butwieją barwy
parkowy grabarz
usypuje kolejne mogiły liści

mówią ptaki
wśród nich te
które już nie wrócą budować gniazd
odlatują na zawsze
droga w błękit zabiera im skrzydła

znikają
za ciemnym welonem nim powietrze
rozedrga bicie dzwonów
choć mają do kogo wrócić
stają się tylko głosem światła

Piąta będzie nadwyżką

nigdy między nią a życiem nie było interakcji
teraz przeciera oczy nie wierząc barwom

od czasu kiedy w pośpiechu
wyprowadzili za drzwi świętych
zaczęli wyznawać siebie
teraz potrafi uśmiechać się nawet do jego spodni
rzuconych w bezładzie na poręczu fotela
jest w tym tyle samo miłości co w miarowym oddechu
za plecami które obejmuje sen
uśmiecha się na dobry dzień niech niesie godzinami
kiedy zwinie go pod głową na spokojną fazę *rem*

telefon mruga bezdźwięcznym ekranem głośząc
koniec sielanki pora uwierzytelnić stopami życie

rozczulona patrzy jak miesza herbatę
z czwartą łyżeczką cukru i śmieje się do niej oczami

Mariusz Ziolkowski (Bydgoszcz)

chciałbym

twoje ramiona
są dłuższe niż myślałem
las wciąż milczy
jeszcze nigdy nie zawiódł

od południa do południa
twoje włosy

tylko o północy
przebijam wzrokiem
drogę do siebie

jutro zmienimy
poduszki

zagadka

nie pamiętam od kiedy
zabrałaś drzewom jesień
zbyt blisko zbyt daleko
do ciebie

za księżycem kolejka
po najbardziej błękitne
lecz zakwitną tylko przy
choince

przed wiosną

czy wybaczysz mi listopad
po półciepłym październiku
tutaj nie znają Vivaldiego

przejdźmy się alejami
gdzie milczą dzwony

bez wiatru i mrozu
nie przeżyjemy zimy

a w domu
święta
co tydzień

zawsze

kiedy kamienie pytają
dlaczego nie obcinam paznokci
sztywnieje mi skóra

nad nową drogą
błękity i biele
popychają w ramiona

nie obejmę
jeszcze boli

my

zostało siedem uderzeń zegara
przez poprzednich pięć
milczałem

bo wiosną jest inaczej

brudne ręce i twarz
wciąż naprawiam
szepcem

wracam po zmroku
zabijam sny
do jutra

i lubię
kiedy tak trudne
jest wstawanie

Przekłady

Jan Stanisław Kiczor

Maestro

Piotrowi Beczale

"Klaskaniem mając obrzękłe prawice..." / C. K. Norwid/

Zacznijmy od relaksu. Gdy w zieleni pola
Łaknie piłki, powiedzmy, osiemnasty dołek,
Nie ma sensu natchnienia szukać w barkarolach,
Równie dobrze się można zachwycić kwiczołem.

Albo całkiem inaczej. Wspólnie z Katarzyną
Koło Żywca wtopieni w cienie ultramaryn,
Szczyty białym obłokiem swobodnie przepłynąć
W czasie, który odmierzą wiekowe zegary.

Można także zapragnąć włóczęgi niezgorszej,
Serpentyną wzdłuż której wabi żółcią miłek;
Jakimś fiatem, czy innym zabytkowym porsche,
W radosnej wzajemności nurzać się choć chwilę.

Wszystko dzieli się przecież na spokój i pracę.
Ileż barw do odkrycia i ile w nich znaczeń!

Rozszyfrowałem właśnie ten tenor liryczny
Gdy się kurtyna lasu otworzyła w złudach
I z głębi wyczarowań dla drzew okolicznych,
Płynął śpiew z „Oniegina” - arią „Kuda, kuda...”

W nawarstwieniu zachcianek, pragnień i pożądań
Wiatr swój akompaniament na ciszę zamienia.
Słysząc tęskne w duecie brzmienie „Sulla tomba...”
Czy, po chwili, z nostalgią, śpiewne „Chi mi frena...”

Jaką ci publicznością, możemy być sami,
Gdyś Rudolfem, Pasterzem, lub księciem Mantui?
Dźwięk się niesie wykwinnym splotem origami,
Przenikając podnieca, wzruszając przytuli.

To nic, że gdzieś jest mroźno, zbyt sucho, czy plucha;
Pan Bóg chmury odsunął i sam się zasłuchał.

Świat wydaje się sceną pełną gromkich bisów
Nie ma żadnych przypadków, nawet tych szczęśliwych.
Wszystko trwa, bądź upada - z boskiego kaprysu
I Olimp na siedzibę jest miejscem właściwym.

Maestro

Für Piotr Beczala

„Die Hände vom Applaus geschwollen...“ /C.K. Norwid/

Fangen wir an zu ruhen. Sofern im Feldgrüne
die achtzehnte Bahn, sagen wir, auf den Ball wartet,
Lyrik mit Barkarolen hier zu inspirieren
ist sinnlos - die Wacholderdrossel kann begeistern.

Oder vollkommen anders. Mit der Katherine
nahe Żywiec* versunken in den blauen Schatten
auf der Wolke die Berge zusammen umschwimmen
in der Zeit, die die Uhren bestimmen, steinalte.

Sonst anders, wo Adonis blüht, längst vielen Kurven,
kann man den Wunsch nach einer Kurzreise erfüllen;
mit einem Fiat, Porsche - den noblen Oldtimern,
in fröhlicher Zuneigung verweilen ein bisschen.

Alles wird aufgegliedert in Arbeit und Stille.
Wie viele Farben gibt es und Sinne wie viele!

Diesen lyrischen Tenor habe ich entschlüsselt,
als der Waldvorhang auf ging samt der Illusionen
und „Kuda, kuda...“ aus der Zaubereientiefe
stieg empor mit der Lenskys Arie zu den Bäumen.

Kräftigend Wünsche, Lüste und steigernd Verlangen
erschallt ein Duett leidenschaftsvoll in der Szene.
Wind Begleiter kommt glücklich zum perfekten Schweigen,
als „Sulla tomba...“, „Chi mi frena“, sich erheben.

Wenn du der Rudolf, Herzog von Mantua, Hirte
bist uns - was für ein Publikum wir dir sein können?
Wie Origami Kunst sind Klänge deiner Lieder.
Du faszinierst, berührst und schmust mit deinen Tönen.

Woanders Dürre, Regen - trotz etlichen Sorgen,
Gott selbst ganz Ohr dir wurde, rückte weg die Wolken.

Es gibt keine Zufälle, auch nicht die glücklichen.
Die Welt erscheint wie eine Szene voller Beifall.
Als Domizil der Olymp eignet sich am besten.
Alles lebt oder endet - je nach Gottes Einfall.

* *Żywiec - eine Stadt in Polen (Beskiden)*

(tłum. Barbara Baldys)

Jan Stanisław Kiczor

Senno-muzycznie do nieznajomej

Kiedy orkiestra skończy grać (choć jeszcze miejsce jest na bisy),
W chłód nas zabierze nocy czas, by warkot bębnow już wyciszyć,
I pozostawić tylko dźwięk który w nas utkwił, objął całość,
Wniknął boleśnie w tkanę snów, jakby w niej bólu brakowało.

A ty się złościś, pół na pół,
Pomiędzy *fugą* a *toccatą*,
Gromadząc świeże krople tchu,
Które nadesłał adorator,

Łapiąc oddechy strojne w szron
Z przedwczesnej wiosny tu, w ogrodzie,
Gdzie zielenieje stary klomb
I coś podejrzeć chce przechodzić.

A wokół tylko nocny mrok, lot samotnego nietoperza,
Zapamiętany struny głos, jakby się kurczył lub rozszerzał,
Ginąc w dotyku twoich ust, zacałowanych przez zdziwienie
Że może sen twój wejść w mój sen, zostając wspólnym rozmarzeniem.

I sama widzisz jak to jest,
Gdy nie chce wybrzmieć cała fraza
A spośród melodycznych gęstw
Znajomy refren się powtarza.

Rozwiesza brzmienia pośród drzew,
Budując pauzę w takiej chwili,
By uspokoić każdy nerw
I do mgławicy się przymilić.

Z wędrówki nocnej wrócił kot, zdziwiony, o czym tak rozmyślałam,
A ja przy tobie przecież tkwię, na stole napoczęty wiśniak
I słyszę wciąż subtelny dźwięk płynący w tempie *allegretto* –
Kot się przytulił, swoje śni, poza tym jest mu wszystko jedno.

An eine Unbekannte musisch-verträumt

Wenn die Schlussnote gespielt wird (es bleibt noch Zeit für die Zugabe),
nimmt uns die späte Stunde mit, um Trommelpochen zu erlahmen.
Belässt nur diesen einen Klang – er steckt in unsren ganzen Wesen,
drang schmerzhaft in den Flor des Traums, als ob es Leidens wenig wäre.

Du irritierst dich, halb und halb,
zwischen der Fuge und Tokkata,
behütetest jeden Atemhauch,
gesandt von deinem Herzbegleiter,

fängst Atemzüge Deko-Frost
vom überraschend flinken Frühling
hier, in dem Garten voller Moos;
Fußgänger schauen kurz, neugierig.

Umher die kalte Dunkelheit; ein Abendsegler fliegt, Einsamer.
Der aufbewahrte Seitenlaut scheint sich zu schrumpfen, sich zu weiten,
erlöscht berührend deinen Mund voll abgeküsst durch großes Staunen,
dass möglich ist, was Träume tun: sich zu verketten, miteinander.

Jetzt kannst du sehen wie es ist,
wenn eine Phrase niemals endet
und aus der dichten Notenschicht
immer bekannter Refrain quengelt.

Sie rastet in den Bäumen gern,
hängt Töne auf - für einen Moment;
Somit beruhigt jeden Nerv
und heißt den Nebelfleck willkommen.

Mieze kam von der Jagd zurück, wundert sich über mein Nachdenken.
Ich stecke immer noch bei dir, Kirsch-Wodka auf dem Tisch geöffnet.
Im Allegretto-Tempo Schall umläuft mich fein, kontinuierlich.
Die Katze schmiegt sich an mich sanft, träumt schön; der Rest ist ihr unwichtig.

Wolne tłum. Barbara Baldys

Peter Sömer

Mathilde von Klusenstein

In das schöne Tal der Hönne
Schaut der hohe Klusenstein;
Eine Mär von treuer Minne
Flattert um des Schlosses Zinne,
Tauben fliegen aus und ein.

Eberhard, Mathildens Gatte,
Kämpfte lang im Heil'gen Land;
Pilger kamen und entboten
Ihr den letzten Gruß des Toten;
Bruno warb um ihre Hand.

„Ritter, hast du Gott vergessen?
Sendet dich der böse Feind?
Deine falschen Pilger lügen,
Geh, du willst ein Weib betrügen,
Das verlassen seufzt und weint!“

Bruno geht, bald kehrt er wieder,
Stürmt das Schloß mit starker Macht;
Doch die Taube war entfliegen,
Und als Retter kommt gezogen
Ihr Gemahl in Pilgertracht.

„Ritter, ehrt man so die Frauen?
Kennst du weder Recht noch Zucht?
Komm, daß ich dich Sitte lehre!“
Er durchsticht ihn mit dem Speere,
Stürzt ihn in die tiefe Schlucht.

Und von Brunos Raubgesinde
Säubert er sein Felsennest,
Eilt, sein Täubchen aufzusuchen,
Grüßt es unter hohen Buchen
und begeht ein Freudenfest.

Matylda z Kluzenstajn

Na dolinę rzeki Honny
patrzy zamek Kluzenstajn.
Ponad nim legenda krąży
o miłości wiernej żony.
Tam gołębice mają raj.

Gdy Eberhard, mąż Matyldy
Ziemi Świętej mieczem strzegł,
przyszli donieść jej pielgrzymi,
że walecznie poległ miły;
a ją Bruno pojąć chce.

„Nie znasz Boga, mój rycerzu?
Czy przysłała ciebie wróg?
Ci pielgrzymi to fałszerze.
Oszukiwać chcesz kobietę,
która płacze. Opuść próg!”

Wcale nie odpuszcza Bruno,
wraca z posiłkami wojsk.
Lecz gołąbki nie ma, dumnej.
Pątnik biegnie na ratunek.
Okazuje się nim mąż.

„Tak się czci kobiety, woju?
Gdzie twa godność? Nie znasz praw?
Chodź, nauczę cię zwyczajów!”
I przebija dzidą ciało,
spycha je w głęboki jar.

W mig oczyszcza z rzezimieszków
swoje gniazdo pośród skał.
Już mu do gołąbki śpieszno.
Wita ją wśród rosnących dębów.
Radość płynie poprzez kraj.

Tłum. Barbara Baldys

Joseph von Eichendorff

Weihnachten

Markt und Straßen stehn verlassen,
Still erleuchtet jedes Haus,
Sinnend geh' ich durch die Gassen,
Alles sieht so festlich aus.

An den Fenstern haben Frauen
Buntes Spielzeug fromm geschmückt,
Tausend Kindlein stehn und schauen,
Sind so wunderstill beglückt.

Und ich wandre aus den Mauern
Bis hinaus in's freie Feld,
Hehres Glänzen, heil'ges Schauern!
Wie so weit und still die Welt!

Sterne hoch die Kreise schlingen,
Aus des Schnees Einsamkeit
Steigt's wie wunderbares Singen –
O du gnadenreiche Zeit!

Boże Narodzenie

Miasto puste dziś, samotne;
lśni bajkowo każdy dom.
Zamyśliłam się w uliczce;
wszędzie ten świąteczny ton.

Kolorowych dekoracji,
dzięki paniom, w oknach moc;
a wpatrzone oczy dzieci
błyszczą będą długo w noc.

Idę dalej, poza mury;
tam mnie wita pola szmat.
Wielka Jasność, Święta Łuna!
Znieruchomiał cały świat!

Gwiazdy zataczają kręgi,
a z samotni śnieżnych mas
głos unosi się anielski.
Łaską przepelniony czas!

Tłum. Barbara Baldys

Бондаревский Лев Владимирович

Мои часы

Часы весною отстают,
а осенью спешат.
Никак они мне не дают
пожить с другими в лад.
Я всюду опоздал весной,
свои часы кляня,
а осенью пришли за мной-
и не нашли меня.
Совсем один теперь живу,
мои часы при мне,
живу по солнцу наяву
и по луне - во сне.

Bondariewskij Lew Władimirowicz

Mój zegar

Zegar wiosną bieg zwalnia,
jesienią przyspiesza.
Kaprysi niczym panna
i jak może, miesza.
Wciąż się spóźniałem wiosną,
to z winy zegara,
jesienią przyszedł za mną,
ale mnie nie znalazł.
I żyję sam jak palec
(zegar obok przysiadł),
według słońca - na jawie,
w snach - według księżyca.

Tłum. Lila Helena Metryka

Бондаревский Лев Владимирович

На тумбочке жуёт закладку Пруст.
Читать не хочется, писать не получается.
Преобладает в настроенье грусть -
Уходит жизнь, немудрено отчаяться .

Вперёд смотреть? – но впереди стена,
и злая память всё в минувшем роется.
Осталась музыка, пожалуй, лишь одна:
Её послушать, всё ещё устроится.

Bondariewskij Lew Władimirowicz

Proust na stołeczku zakładkę żuje.
Czytać się nie chce, pisać – ani trochę.
Smutek się cieniem coraz większym snuje
Przemija życie. Jak godzić się z losem?

Przed siebie patrzeć? – ale tam ściana,
Pamięć uparcie o przeszłości roi.
Tylko muzyka, ona pozostała:
I tylko ona ból wszelki ukoi.

Tłum. Lila Helena Metryka

Поляков Андрей Андреевич

Всё было просто, без обмана.
Обмана не было и нет.
Она возникла из тумана,
Из незначительных примет.

Она прошла сквозь штору ночи,
Она прошла сквозь стёкла дня.
Она возникла между строчек,
Чтоб мучить тайною меня.

Она со мной стояла рядом
Уже не сгустком пустоты.
Она меня касалась взглядом,
А я ещё не верил – ты...

Всё было просто, без обмана.
Обмана не было и нет.
Она возникла из тумана,
Из незначительных примет.

Polakow Andriej Andriejewicz

Całkiem zwyczajne wszystko było.
Kłamstwa nie miały miejsca tu.
Ona zza mgły się wyłoniła,
Zza mało ważnych znaków, wróżb.

Poprzez zasłonę nocy przeszła,
I poprzez dnia przejrzysty cień,
Powstała niczym feniks w wersach,
By tajemnicą dręczyć mnie.

A później obok przystanęła,
Znaczone pustką znikły dni.
Jasnym spojrzeniem mnie dotknęła,
Nie śmiałem wierzyć, że to ty.

Całkiem zwyczajne wszystko było.
Kłamstwa nie miały miejsca tu.
Ona zza mgły się wyłoniła,
Zza mało ważnych znaków, wróżb

Thum. Lila Helena Metryka

Маргарита Москвичёва

Говори, говори, говори...
Мы с тобою сидим у огня.
Тихо мечется буря внутри,
Там, на дне уходящего дня.

Пропоёт ли метель за окном
Иль погасит рассвет фонари,
Всё, что будет – пусть будет потом,
А сейчас говори, говори....

Пусть планета летит в звёздной мгле,
Я готова до самой зари
Слушать всё, что расскажешь ты мне...
Только ты говори, говори...

Margarita Moskwickowa

Mów do mnie, proszę, mów, mów, mów...
Siedzimy razem. Ognia blask.
Wewnątrz szaleje tysiąc burz,
A wszystko to u schyłku dnia.

Wyśpiewa zamieć swoją pieśń,
Latarnie zgasi świt–nasz druh,
Co ma się stać, niech stanie się,
Lecz trochę później, teraz mów...

Zginie planeta w gwiazdnej mgle.
To nic. Ja jestem po brzask zórz
Gotowa słuchać, co mi chcesz
Powiedzieć ty, więc mów, mów, mów...

Tłum. Lila Helena Metryka

Spis treści

Barbara Baldys

Kobiecie w necie

Józef Bilski

*** (szaleje szalej)

*** (w nas)

*** (w odchodzeniu)

*** (droga)

Ewa Colett Boruta

myśli niesforne

w cieniach

pierwotnie

słońcem tkany

ostatnia odsłona

zmiana

Mirosław Chodynicki

*** (tu można pogadać z Bogiem.)

W drogę

Hanna Dikta

Przerwana taśma

Jeszcze jak

Michał Witold Gajda

Nocne anioły

Koniec baru U Jakubka

Śmietnik

Na wznak

Ostatnie chwile zabawy w remizie

Al fresco

Michalina Gałka-Nosiadek

Czas nie znosi spóźnień

Z południa na południe

I tak, i nie - zadumka w porannym do Krakowa

Z prywatnej kroniki pomiarów

Olbrzymka

Galimatias, galimatias

Hanna Głok-Lejk

dziewczyna z obrazu Vermeera

Lucy in the sky with diamonds

w Markowej

nie dajesz mi wyboru

Janina Górecka

Cicerone

Głupia

Miłość kobiety
błogosławione niech będzie kalectwo
Femme fatale
Gregory Lemarchal budzi uśpione
Ewa Grochala-Włodek
Popielec (stylizacja)
Kolia

Zapisano w Księdze Sarkofagów
Nie odróżnisz ułudy od prawdy
Chodź, opowiem ci, i nie bój się, to tylko...
czas martwego ziarna

Leon Gutner
List w butelce
Piosenka dla madame
W oderwaniu

Stan
Ballada o *zanim*
Tym razem

Marek Jastrząb
Relacja
Bajka dla pracowitych
Bajeczka o reorganizacji
Podanie do laryngologa
Kraczydła

Jeremi Jastrzębski
*** (widzisz)
*** (nie ma nas razem)
*** (nie jest moją koleżanką)

Jan Stanisław Kiczor
Bieszczadzkie nostalgie
Współczesność
Nadzieja
Mimochodem
Rozedrganie
Z boku na bok

Bożena Kluszczyńska
kolejny etap dojrzewania
Judytę od raję dzieli wysoka brama
sześć tygodni odwyku

Halina Kobiela
Kamil
Determinacja
Sny

Mariola Kruszewska
suplement do Genesis
kilka pytań o Ewę
skarga św. Franciszka
triumf teorii
i że cię nie opuszczę

także moja

Tomasz Kowalczyk

jak nastolatki

podróż do Rebeki

wymówka

maski

Akporue

go away

Agnieszka Marek

Prognozy

Możliwości

Przez palce

Misteria

Zaułki

Bez reszty

Emilia Mazurek

Postludium

Fisherman

Proust

Flow

Słowa są bezsilne wobec przebiegunowań

Zawietrzna strona pamięci

Lila Helena Metryka

Późna dziewczyna

Bogdan Piątek

@społeczny

piątek zły początkowo

macieju w koło

czasem mam czas

erotyk cybernetyczny

kręci nas wrzeczono

Marta Raczyńska

Palimpsest

Prahistoria

W cyklu

Odbicia

Równonoc

Droga do Caeculo

Andrzej Sękowski

Machu Picchu

ósmego dnia w raju

okres połowicznego rozpadu

uporczywość pamięci

Ariadna

Caravaggio

G. Stadnik

Uczta

W papirusach

Małgorzata Szczepańska-Tomal

za(wahanie)

na psa urok

Piotr Szelewicz

Po szkodzie
Słowa, gesty i to, co między wierszami
Poczekalnia
Peryferie
Peryferie II
Peryferie IV - pejzaż zimowy

Jarosław Trzeźniewski-Kwiecień

Jutrznia
Pozdrowienia od Goebbelsa
Dyptyk zimowy
trajektoria (rapsodia filadelfijska)

Edmund Warszawski

myśli prawie złote

Irena Maria Zborowska

Niskobudżetowce
Wyprawa do źródła
A za tą bramą trawa soczysta
Saute

Dał i zabrał skrzydła
Piąta będzie nadwyżką

Mariusz Ziółkowski

chciałbym
zagadka
przed wiosną
zawsze
my

Przekłady

Barbara Baldys

Jan Stanisław Kiczor /Maestro/
Jan Stanisław Kiczor /Senno-muzycznie do nieznajomej/
Peter Sömer /Mathilde von Klusenstein/
Joseph von Eichendorff /Weihnachten/

Lila Helena Metryka

Bondariewskij Lew Władimirowicz /Mój zegar/
Bondariewskij Lew Władimirowicz /***(Proust na stołeczku zakładkę żuje...)/
Polakow Andriej Andriejewicz /***(Całkiem zwyczajne wszystko było...)/
Margarita Moskwiczowa /*** (Mów do mnie, proszę...)/